odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok IV. ŁÓDZ, 23 kwietnia 1961 r.
Nr 16 (164) Cena 1 zł

Specjalny wysłannik „Odgłosów" donosi:

KRAINA WIELKICH JEZIOR czeka na Ciebie

WIESŁAW MACHEJKO

WIOSNA w GIŻYCKU

Strzeliły pąki drzew nad Kanałem Łuczańskim. Przecięły błękit kłucze powracających bocianów, żurawi, kaczek i łabędzi. Rozśpiewały się mazurskie puszcze. Zachrzęściły suche jeszcze i ospałe trzciny. Wielka ryba spojrzała z głębiny zielonej w górę i pomyślała: wiosna idzie trzeba będzie uważać na rybaków. Nad brzegi spokojnych jezior wybiegły dzieci, w ślad za nimi poszli starsi popatrzeć jak obok wyspy Francuskiej sunie pierwszy żagiel.

Na przystani w Giżycku marynarze słodkich wód wylegli na pokłady stojącej w basenie portu białej, mazurskiej flotylli. Wszystko gotowe. Sezon wiosenny można otwierać. I wypatrują przez lornety, może już pierwszy turysta pojawił się na brzegu? Wypatrują go tak tęsknie jak kiedyś spoglądali na niego ironicznie i z politowaniem usiłując zrozumieć—po co też pcha się na te tereny z plecakiem jak oszalały? Tubylcy nie chcąc mieć zapewne do czynienia z takimi „nienormalnymi ludźmi" odmawiali im sprzedaży litra mleka i bochenka chleba. W sklepach nierzadko dochodziło do awantur z przybyszami kupującymi wędliny czy mięso. Mazury były więc niecmal pustynią. Jadąc tam zabierało się wszystko łącznie z chlebem i solą na dwa czy trzy tygodnie. Turysta był intruzem który lekkomyślnie narażał się na trudy, niewygody, ba czasem nawet na niebezpieczeństwo.

Mazury zostały jednak w międzyczasie odkryte, opisa-

Dalszy ciąg na str. 4)

HALINA ŻYŻKA

On, ona i ta trzecia

Nie chcę wcale Twojej zguby
Nowe wdzianko dam Ci luby.

Prawda, ile wdzięku, prostoty w tym dwuwierszu? Można sobie z tym fredrowskim krokodylem poczynać dowolnie, w zależności od epoki. Kiedyś za slogan: „Jeśli nie chcesz mojej zguby suknię z „Cedetu" kup mi luby" — otrzymałam paręset złotych. Dziś, nową oryginalną wersję sloganu oddaję wam gratis, bo konkurencja depcze po piętach i co drugi rodak już całkiem bez skrępowania rozprawia o modzie a co gorsza — niektórzy nawet piszą. Bo to już nie temat dla elity, ani drobna rzecz o fatałaszkach niewieścich lecz godny poważnego pióra problem, warty dużej publicystyki.

Moje skromne, lecz wdzięczne hasełko kryje w sobie pewną fałszywą nutkę, bo skąd wziąć gotowe, twarzowe wdzianko i czy w ogóle wdzianko potraktowane zostałoby przez lubego jak zbawienie? Wątpliwe. Luby uznaje tradycyjny garnitur wypchany watą o bohaterskim gorsie usłanym wiosianką.

I w ogóle najdrożej ubraną istotą w rodzinie jest mężczyzna. Proszę tylko wziąć ołówek i policzyć. Statystyki wprawdzie milczą, ale każdy wie, że kupno garnituru to kosztowna inwestycja. Co oczywiście nie odnosi się do głowy domu, lecz wydatku np. na ubranie świąteczne, wizytowe wiszące w szafie i czekające na „okazję". Dla równowagi (budżetu rodzinnego) przydałoby się więc na co dzień owe tanie wdzianko z jerseyu, teksasu czy popeliny. Ba! Ale rzecz w tym właśnie, że bardzo tradycyjny i zacofany pozostaje nadal strój męskiej połowy rodu. Moda męska dreptała w miejscu zdala od rozwoju naszego społeczeństwa, nowoczesnego trybu życia, przemian w kulturze, obyczajach. Wytrawny fachowiec, który ceni sobie każdy kwadrans, jeździ Wołgą 100 kilometrów na godzinę, użera się w domu ze spinkami, gniecie pracowicie uprasowaną koszulę uwierającymi na ramionach szelkami. Tymczasem „awangardowych" spodni nie nosi się na szelkach, one posiadają gumę wokół talii (paski skórzane wychodzą z użycia).

W pewnym, awangardowym środowisku jeden z kolegów zjawił się pewnego dnia w ciemno-rdzawym wdzianku—golfie. Wiele było wydziwiania. Wszyscy urzędujący w gmachu dzielili się na tych co już go widzieli i na tych co go nie widzieli, a powinni zobaczyć. Dziś każdy mija awangardę obojętnie, i niestety, nadal hołduje tradycji drogich garniturów. Zaś każdy nowy strój posiada modne, wąskie klapy u marynarki, wąskie spodnie. A przecież nie każdemu dobrze w owej modnej linii kroju. Dalibóg! Krawcy w Warszawie i Łodzi twierdzą, że mężczyzna jest w zasadzie większym niewolnikiem mody niż kobieta. Gdy sprawia sobie nowy garnitur nie odstąpi ani o krok od żurnalu. Obserwuje się także jakiś brak obeznania z modą, jej zasadami. Na ogół mężczyźni bywają bezkrytyczni, gdy chodzi o figurę, wzrost, typ urody. Nie dlatego, że nie przywiązują wagi do stroju, wyglądu. Wręcz przeciwnie. Na ogół jakieś 5 proc. mężczyzn umie się ubrać. A już co do barw, radzę polegać na kobiecym guście Z prawidłowym zaś doborem dodatków sprawa przedstawia się bardzo źle. Najdroższy krawat przy nieodpowiedniej koszuli wygląda tandetnie.

Dręczą mnie jednak wyrzuty sumienia. Czy mamy chociażby freblówkę mody męskiej? Czy mamy jakiegoś „Tadeusza", męski odpowiednik „Telimeny"? Epoka „Lorda Galluxa" przeminęła jak wszelkie inne „luxy". Wszędzie w domach mody, sklepach wszystkiego po trochu z męskiej garderoby. I to wyroby zupełnie eleganckie, w dobrym gatunku. Świetne, sławne w kraju łódzkie koszule z „Wólczanki", płaszcze o dobrym kroju z ładnych tkanin z ZPO im. Próchnika, krawaty z ZPJ im. Wieckowskiego, garnitury z ZPO w Zgierzu, spodnie z ZPO im. Fornalskiej, wdzianka z ZP Dz im. Kasprzaka, skarpetki z ZP Pończoszniczego „Feniks", no, i wreszcie pionierskie, nowe modele z centralnych laboratoriów Przemysłu Odzieżowego i Dziewiarskiego. Nie mówiąc już o doskonałym wzornictwie oraz produkcji tkanin i dzianin znanych w kraju i za granicą.

Są więc w Łodzi wszyscy producenci stroju męskiego, nie ma tylko „Tadeusza", który by koordynował te wszystkie elementy męskiego stroju, nadawał ton modzie ku uciesze i pożytkowi Telimen. One przecież jak wiadomo korzystniej wyglądają na tle dobrze ubranych Ta-

Dalszy ciąg na str. 5

Jednym z poważnych elementów współczesnej mody jest biżuteria. Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych w Łodzi, w ramach zajęć prowadzonych przez Lenę Kowalewicz proponuje nowe oryginalne wzory biżuterii, która znalazła już uznanie w łódzkiej „Telimenie" i była eksponowana na Wiosennych Targach Lipskich w br. Wzbudziła tam ona duże zainteresowanie.

Specjalny felieton poświęcony nowoczesnej biżuterii zamieścimy w najbliższych numerach. Poniżej czytajcie felieton o modzie wiosennej.

ZBIGNIEW NIENACKI

Rozmowy o polityce kulturalnej (1)

W dżungli upowszechnienia

Zadałem sobie dość sporo trudu. Spróbowałem na podstawie list płac dokonać małej statystyki wieczorów autorskich i prelekcji wygłaszanych przez łódzkich twórców w ramach tak zwanego upowszechnienia kultury. Usiłowałem nareszcie ustalić kto, gdzie, ile razy i na jaki temat przemawia na licznych w naszym mieście i województwie odczytach i spotkaniach z Czytelnikami. Byłem na kilku takich spotkaniach, spróbowałem utożsamić się z owym stałym odbiorcą kultury, bywalcem sal odczytowych. Badałem te sprawy w Wydziale Kultury Prezydium RN m. Łodzi i Prezydium WRN. Zyskałem więc pewien obraz zagadnienia, obraz niepełny, niedoskonały, ponieważ obydwa wydziały kultury nie są jedynymi instytucjami finansującymi i inspirującymi występy naszych twórców. Nie ma z tej dziedziny żadnych zbiorczych cyfr czy sprawozdań, sprawa jest i pozostanie chyba dżunglą, przez którą nikt nie przebrnął aż do końca i w której rządzi również prawo posiadającego silniejsze łokcie i donośniejszy głos.

Na użytek jednak niniejszego artykułu udało mi się ustalić pewne dane. Dane zawarte w statystykach okazują się miażdżące. Ilość odczytów i prelekcji wygłaszana przez poszczególnego literata jest zawsze odwrotnie proporcjonalna do jego działalności twórczej. Im więcej prelekcji i występów, tym rzadziej wydaje książkę, a jeśli nawet wydaje, są to książki coraz słabsze.

Dla przykładu, jest w Łodzi literat który w ubiegłym roku wygłosił w województwie prawie sto odczytów, tyleż samo prawie miał w Łodzi. Proszę pomyśleć — dwieście odczytów, do tego praca zawodowa — jak to ogranicza możliwości twórcze. Podzielcie tylko ilość dni w roku przez ilość jego wystąpień, prelekcji i odczytów. Okaże się, że ów człowiek nie miał czasu nie tylko na pisanie, ale i na czytanie książek.

Wiosną ubiegłego roku pisaliśmy o literacie-omnibusie. Literacie, który gotów jest o każdej porze w każdym środowisku wygłosić pogadankę na każdy temat, począwszy od twórczości Konopnickiej, a skończywszy na zagadnieniach prehistorii... w literaturze polskiej (sic!). Zdarzyło mi się być na takiej prelekcji. Nie powiem, pisarz ów nawet bardzo inteligentnie wygłaszał się z tematu i słuchacze wydawali się zadowoleni. Ale żal było obserwować owego pisarza, włożył sporo trudu w przygotowanie prelekcji, którą każdy zdolny nauczyciel polonistyki zrobiłby o wiele lepiej i bez wielkiego wysiłku. To zresztą był idealny literat-omnibus. Powiadomiono mnie o wypadku, że w pewnym mieście powiatowym sprowadzono literata z trybuny, tak bardzo gięzdził od rzeczy, tak bardzo nie opanował tematu.

(Dokończenie na str. 7)

JACEK LEBEN

„Wostok" znaczy „Wschód"

Minęło zaledwie 8 dni od owych 108 minut, które wstrząsnęły światem. Minęło zaledwie 8 dni od kosmicznej podróży statku „Wostok", na którego pokładzie mjr Jurij Gagarin obserwował Ziemię z kosmicznych perspektyw. W ciągu 8 dni napisano o tym locie miliony słów. Wieść o locie dotarła do najdalszych zakątków naszego globu, a mjr Gagarin wmaszerował na zawsze do historii.

Po pierwszych komunikatach o locie kosmicznym nie było czasu na refleksje. Dominowało serdeczne wzruszenie, trwoga o los bohatera. Cóż dużo mówić, miliony ludzi były wówczas razem z nim.

Mieliśmy również świadomość wagi tej chwili, która otworzyła przed człowiekiem gigantyczne perspektywy.

Teraz, kiedy znane są już dzieje lotu, a setki miljonów ludzi na świecie znają młodą, sympatyczną twarz pierwszego kosmonauty przychodzi czas na refleksje i to refleksje politycznej natury.

Nie wiem czy uświadamiamy sobie w dostatecznym stopniu rewolucję, jaka pod wpływem kosmicznych osiągnięć Związku Radzieckiego zaszła w umysłach naszego społeczeństwa i bodaj w jeszcze większym stopniu w umysłach społeczeństw Zachodu.

Od trzech lat jesteśmy szokowani sputnikami, zdjęciami Księżyca, wysłaniem statku kosmicznego na orbitę Wenus. Po tych trzech latach uznajemy jako rzecz zupełnie naturalną, że statek kosmiczny nosi nazwę „Wostok", że pierwszy kosmonauta to Gagarin, a nie Brown czy Smith. Wszyscy są jak najgłębiej przeświadczeni, że pierwszym człowiekiem, który wyląduje na Księżycu, będzie obywatel Związku Radzieckiego.

Dzieje się to wszystko przecież na wyżynach szeroko rozwiniętej nauki i techniki. To nie wyskok w jednej dziedzinie, lecz efektowne zakończenie wielkiej piramidy.

Na lotach kosmicznych koncentruje się w tej chwili wysiłek uczonych niemal wszystkich dziedzin — pracują nad nimi chemicy, fizycy, twórcy najdoskonalszych przyrządów, elektronowych mózgów, paliwa, dla statków kosmicznych, nad którego właściwościami głowi się Zachód, pracuje tysiące wielkich talentów, którym stworzono pełnię możliwości rozwoju, pracuje wreszcie potężny, nowoczesny przemysł i ekonomika, tkwiąca korzeniami w rewolucyjnych przeobrażeniach. Efektem jest dziś zwycięstwo w wyścigu do gwiazd, efektem będą jutro kolejne zwycięstwa w wyścigu na Ziemi.

„Wyczyn Związku Radzieckiego — powiedział prezydent Kennedy budzi olbrzymie wrażenie. Jestem pewien, że wszyscy ludzie na świecie wyrażają najwyższy podziw dla Rosjan, którzy przyczynili się do tego nadzwyczajnego osiągnięcia".

Przez wiele dni niemal wyłącznym przedmiotem komentarzy prasy światowej oraz audycji radiowych i telewizyjnych całego świata był lot majora Gagariana. Dyplomatyczne spotkania, wizyta Adenauera w Waszyngtonie zeszły na plan dalszy.

W tysięcznych komentarzach wskazuje się na daleko idący wpływ jaki osiągnięcie radzieckie może wywrzeć na rozwój wydarzeń w dziedzinie politycznej, wojskowej i naukowej. Większość komentatorów przyznaje, że jest to efektowny pokaz olbrzymiej drogi rozwojowej jaką przeszedł Związek Radziecki od czasów Rewolucji. Związek Radziecki, niegdyś państwo należące do najbardziej zacofanych w Europie, znalazł się przecież nie tylko na czele najpotężniejszych mocarstw tego globu, ale w wielu dziedzinach nauki i techniki znacznie wyprzedza.

Wielu też komentatorów snuje obawy — uzasadnione zresztą z ich punktu widzenia, — że epokowe osiągnięcie radzieckie przyczyni się do dalszego zwiększenia prestiżu ZSRR wśród krajów słabo rozwiniętych gospodarczo. Na przykład wybitny korespondent polityczny Agencji AP Hightower pisze między innymi ....prestiż jaki zdobywa sobie ZSRR realizując w praktyce swe możliwości

(Dalszy ciąg na str. 8)

JERZY DAGOBERT

ORX 71 nie zrobił kariery

(3)

Grupa niemieckich turystów szła powoli peronem w kierunku wyjścia. Poszkodowani ruszyli za nimi. Szczęście i tym razem sprzyjało. Od grupy odłączyło się dwóch mężczyzn, którzy wiodąc spór między sobą zmierzali z powrotem w stronę wagonu. Jeden z nich trzymał w ręku walizkę Wartkiego. Janiak podszedł do do nich i w kilku słowach wyjaśnił pomyłkę. Niemcy śmiali się głośno, wyrażając radość z odzyskanej zguby. Incydent zakończył się wzajemnymi klepaniami po plecach. Plewa z szerokim uśmiechem trzepnął Wartkiego w plecy tak mocno, aż ten przysiadł.

Był już późny wieczór i „turystom" z grupy Janiaka głód dawał się potężnie we znaki. Najpierw jednak, nim poszli do dworcowej restauracji, przestudiowali dokładnie wiszące w hallu dworca rozkłady jazdy.

Postanowili bowiem nie nocować w żadnym hotelu w Pradze i możliwie jak najwcześniej jechać dalej. Najbliższy pociąg w kierunku polskiej granicy odchodził dopiero po północy. Mieli więc przed sobą kilka godzin czasu.

Było już po 24.00, kiedy weszli wreszcie do pociągu. Ulokowali się wygodnie i na zmianę czuwając, drzemali.

Wczesnym ranem wysiedli na niewielkiej stacyjce Poradovo. Dalsza jazda pociągiem mogła być niebezpieczna. Wprawdzie od polskiej granicy dzieliło ich jeszcze około 70 km, ale pozostałą drogę trzeba już było przebyć na własnych nogach i to lasami. W pogranicznym terenie, uczono ich w szpiegowskich szkołach, nigdy ostrożności nie za wiele.

Niepostrzeżenie przeszli przez śpiące jeszcze miasteczko i wkrótce znaleźli się w ogromnym pobliskim lesie. Tu rozbili biwak, drugi już na trasie swojej „turystycznej wędrówki".

Dopiero następnego dnia, solidnie wypoczęci, rozpoczęli marsz ku polskiej granicy. Teraz trzeba było iść w dzień, gdyż gęsty las i ciężki górzysty teren uniemożliwiały wędrówkę w nocnych ciemnościach.

Nadchodził najważniejszy moment w całej wyprawie, o tyle trudniejszej w porównaniu z pierwszym przejściem, że nie mieli już tu zbrojnej ochrony ani możliwość odwrotu. Byli zdani wyłącznie na własne siły i spryt.

Długo badali mapy i rozważali różne warianty przejścia. Zdecydowali wreszcie, że przekroczą granicę polską w rejonie Jeleniej Góry. Ten odcinek wydawał się im najbezpieczniejszy: góry i duże gęste lasy stwarzały korzystne warunki.

W rejon granicy dotarli 29 lipca. Przez kilka godzin z wysokiej zalesionej góry obserwowali uważnie teren planowanego przejścia. Podobnie jak poprzednio, rejestrowali w pamięci wszystkie mogące mieć znaczenie szczegóły. Na ich oczach odbyła się zmiana posterunków granicznych, kilka razy w odległości zaledwie kilkuset metrów przeszły patrole WOP.

Wreszcie, gdy kolejny patrol minął ich schronienie, wydobyli broń i chyłkiem, rozglądając się uważnie, nisko pochyleni nad ziemią ruszyli biegiem w kierunku granicznego pasa.

Pierwszy biegł Janiak trzymając w ręku ciężkie parabellum. Za nim długimi susami sadził Plewa, palce prawej dłoni zaciśnięte miał na „Stenie". Tuż obok, również z pistoletem w garści podążał Wartki. Przebiegli szczęśliwie odkrytą przestrzeń i dopadli pierwszych drzew. Tu przystanęli na chwilę, nasłuchując. Wokół panowała cisza. Przykucnęli za rzadkimi krzakami. Byli już po polskiej stronie.

Nagle z boku doszedł ich uszu trzask łamanych gałęzi. Błyskawicznie przylgnęli do ziemi. Zza kępy drzew wyszli dwaj żołnierze WOP. Byli w odległości nie większej niż dwadzieścia kroków.

Janiak wolniuteńko opuszczał palcem bezpiecznik pistoletu. Leżący obok Plewa uczynił to samo.

Lada chwila padnie zapewne okrzyk: „Ręce do góry" — a w odpowiedzi posypią się zza krzaków mordercze strzały. Co za cholerny pech! I to prawie u celu. Po tylu trudach i szczęśliwie przebytych niebezpieczeństwach...

Trzy pary oczu z natężeniem wpatrywały się w sylwetki żołnierzy. Ale ci postali kilka sekund, po czym spokojnie ruszyli w dalszą drogę.

Przez dłuższą chwilę Janiak i jego dwaj kompani leżeli jak skamieniali, nie mogąc uwierzyć, że niebezpieczeństwo już minęło. Pierwszy oprzytomniał „wódz". Uniósł głowę i rozejrzał się wokoło. Spokój. Ruszyli w drogę. Przebyli około 6 km. Zapadł już zupełny zmrok. Las był zwarty i tak gęsty, że iść dalej było niebezpiecznie. Zmęczyli się. Każdy krok przy tym powodował hałas. Zdecydowali się więc pozostać w lesie do świtu.

Usiedli pod drzewami. Plewa wyciągnął z walizki butelkę z wódką i składane plastikowe kubki.

Janiak podniósł kubek do ust. — No — powiedział — wypijmy! Alkohol rozlał się po żyłach krzepiącym ciepłem.

„Wódz" uśmiechnął się.

Byli już wreszcie u celu. Przed nimi Polska.

Byli już wreszcie u celu. Przed nimi Polska.

Pierwszą i najpoważniejszą sprawą było zorganizowanie bazy, z której zamierzali działać. Jeszcze w Austrii Janiak i koledzy otrzymali adresy „pewnych ludzi". Mieli oni udzielić przybyszom schronienia w początkowym okresie, dopomóc w zaaklimatyzowaniu się w Polsce. Adresów było trzy i wszystkie na terenie Dolnego Śląska. Dwie „meliny" znajdowały się blisko Legnicy, która stanowiła jeden z obiektów ich szczególnego zainteresowania. Postanowili więc jak najprędzej dotrzeć do wskazanych im punktów i po zorientowaniu się w sytuacji rozpocząć nakazaną robotę.

Następny po przejściu granicy dzień wykorzystali na sporządzenie wszystkich potrzebnych im w Polsce dokumentów. Zaopatrzeni w oryginalne blankiety, używając różnego rodzaju polskich pieczęci, których komplet posiadali w swym ekwipunku, „wyrobili" sobie dowody osobiste i rozmaite zaświadczenia.

Potem ukryli w walizkach ciężkie „parabellum", a pistolet maszynowy, chwilowo niepotrzebny, rozebrali na części i zakonserwowawszy tłuszczem, zakopali w miejscu, które starannie oznaczyli sobie tylko wiadomym sposobem.

Rozdzieli pieniądze, dokonali wzajemnego przeglądu i byli gotowi. Po wyjściu z lasu na szosę, zatrzymali przy pomocy książeczek „autostopu" przejeżdżającą ciężarówkę, która podwiozła ich do najbliższej stacji kolejowej. Stąd już pociągiem wyruszyli w kierunku Legnicy.

5 sierpnia późnym wieczorem, Janiak, Plewa i Wartki przybyli do wsi Białowoda. Tu właśnie, w dużej, murowanej zagrodzie stojącej na skraju zabudowań wioski, prawie pod samym lasem, znajdowała się pierwsza z trzech wskazanych im w Austrii „melin".

W zaroślach przeczekali dzień i niemal o północy, starając się zachować jak najciszej podeszli do zabudowań Józefa K. Weszli na podwórze. Spod dużej, murowanej szopy rozległo się przeraźliwe ujadanie psa.

— Żeby go szlag trafił! — zaklął półgłosem Janiak — Drze się ścierwo, że umarłego by obudził. Dobrze, że jeszcze cholera uwiązana.

Rozglądnął się dookoła i podszedł do drzwi domostwa. Zastukał energicznie raz i drugi.

Po chwili w oknie rozbłysło światło naftowej lampy i przesunęło się w stronę wejścia.

— Kto tam? — zapytał zza drzwi męski głos.

Janiak zachrobotał klamką.

— Swoi — powiedział — otwórzcie.

— Co za swoi? — głos z wewnątrz był wyraźnie nieufny. — Teraz noc, przyjdźcie za dnia.

— Mamy ważną sprawę. Przychodzimy z pozdrowieniami od wujka Stefana — Janiak zdecydował się od razu na wypowiedzenie umówionego hasła.

Za drzwiami zapanowała głucha cisza. Tak trwało kilka minut. Pies szczekał bez przerwy. W ciszy nocnej głos jego słychać było w całej wsi. Janiak i koledzy poczęli się niecierpliwić.

Plewa podszedł i załomotał w drzwi pięścią. Dopiero teraz wewnątrz zaszurały kroki i drzwi uchyliły się z piskiem nienaoliwionych zawiasów. Stanęła w nich, podnosząc w górę stajenną naftową lampę, wysoka, postawna kobieta. Patrzyła na przybyszów z wyraźną niechęcią, tarasując sobą wąskie przejście.

Janiak uśmiechnął się i usiłując nadać głosowi jak najprzyjemniejsze brzmienie powtórzył:

— Dobry wieczór! Przychodzimy z pozdrowieniami od wujka Stefana!

Kobieta chwilę jeszcze stała w milczeniu, oświetlając po kolei ich postacie. Potem powiedziała szybko i gniewnie:

— Nie mam żadnego wujka Stefana! Idźcie panowie, skąd żeście przyszli i nie nachodźcie spokojnych ludzi po nocach.

Janiak podszedł bliżej.

— Niech pani zawoła męża — powiedział przekrzykując ujadanie psa. — Mamy do niego interes.

— Męża nie ma — głos kobiety brzmiał jeszcze bardziej opryskliwie. Wyjechał i nie będzie go. Nie macie czego tu szukać. Zabierajcie się stąd.

— Jak to nie ma? — Janiak był wyraźnie zaskoczony — Przecież przed chwilą rozmawiał z nami przez drzwi!

— Mówiłam nie ma, to znaczy nie ma! — powtórzyła nieustępliwie.

Plewa zaklął brzydko. Jednym susem znalazł się obok kobiety. Ale ta gwałtownie cofnęła się w głąb, zatrzaskując z hukiem drzwi. Zachrobotał przekręcany klucz.

Stali teraz przed domem zupełnie ogłupiali. Potem Janiak jeszcze raz spróbował pertraktacji. Ale nic nie pomogło. Nie było żadnej odpowiedzi.

Wreszcie z głębi domu dobiegły ich słowa:

— Albo zaraz idziecie stąd, albo narobię krzyku na całą wieś! — groźba była zupełnie wyraźna.

Janiak spojrzał na Plewę. Ten blady ze złości splunął w stronę domu.

— Zdrefił, sukisyn! — powiedział. — A ta zaraza rzeczywiście gotowa drzeć mordę!

Dłużej nie było na co czekać. Pies szczekał bez przerwy, szarpiąc się na łańcuchu.

Drogę powrotną do lasu przebyli w ponurym milczeniu. Dopiero gdy weszli w gęstwinę, dali upust swej wściekłości. Ale nawet najbardziej wymyślne przekleństwa, nie były w stanie zmienić faktów. „Melina" była „spalona".

D.C.N.

Województwo najbliższe

XVIII-wieczny pałacyk w Kutnie

KUTNO

W tym to właśnie gustownym 18-wiecznym pałacyku należącym kiedyś do lokalnego magnata, opromienionego zresztą sławą bibosza i karciarza (ów pałacyk również wygrał w karty), imć pana Zawadzkiego mieści się Państwowa Szkoła Muzyczna. W Kutnie jednak nikt nie mówi o PSM inaczej niż „LIM". Ludowy Instytut Muzyczny powstał równo 15 lat temu. I teraz chociaż już od 10 lat LIM w Kutnie nie istnieje kutnowianie używają dawnej nomenklatury. Dlaczego tak jest nie wiadomo.

Wiadomo natomiast, dlaczego szkoła cieszy się w Kutnie dużym poważaniem. To jednak nie byle co mieć w mieście taką uczelnię. Świadczy ona przecież o poziomie środowiska, o uzdolnieniu młodzieży ba, wyróżnia Kutno z grona „zwykłych" miast powiatowych. Dlatego kutnowianie cenią LIM i dumni są z niego. A swoją drogą duma to uzasadniona. Przez te 15 lat kutnowska PSM wypuściła dziesiątki absolwentów, którzy bądź studiują na wyższych uczelniach muzycznych bądź już po ukończeniu studiów zajęli się (przeważająca większość) pracą pedagogiczną wśród naszej — trzeba to niestety przyznać — niezbyt umuzykalnionej młodzieży szkolnej. Niektórzy absolwenci jak skrzypek p. Lech Borowicz wrócili do swej „starej budy" jako wykładowcy.

J. W.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

„Czas przeszły"

Buczkowski i Szczypiorski nie zamierzali chyba „odkrywać Ameryki", na pewno jednak pragnęli ażeby powstał ciekawy film, ukazujący obraz działania aparatu sprawiedliwości i „niezawisłych" sędziów w republice bońskiej. Realizatorzy chcieli podobno pod względem formy odbiec od tzw. klasycznej dramaturgii. Niektórzy na długo przed premierą widzieli w tym nowoczesność i „antyfilm". Przed tym ostatnim określeniem bronił „Czasu przeszłego" nawet sam reżyser.

Tak było przed premierą. A co na premierze? Prawda, że publiczność filmu nie wygwizdała, ale zachwycona nie była, bowiem „Czas przeszły" okazał się filmem bez wyraźnego oblicza. Nie jest na pewno komedią czy satyrą, chociaż czasami niektóre epizody pobudzają do śmiechu.

Dramatem psychologicznym również „Czas przeszły" nie stał się, choć reżyser Leonard Buczkowski starał się zróżnicować nieco postacie, a szczególnie głównego gestapowca von Steinhagena. I tu Gustaw Holoubek pomimo, że ma bardzo dobre miejsca w swej interpretacji, ogólnie jednak źle się czuje w tej roli. Holoubek jako gestapowiec nie jest schematyczny, ale jednocześnie był mało prawdopodobny. A poza tym w mundurze czuje się tak, jak w średniowiecznej zbroi. Dobrze, że Ford nie próbował go zaangażować do swej bitwy pod Grunwaldem.

Zaś dramat przywódcy ruchu oporu; dramat zwycięzcy, który mówi, że wojnę przegrał, tragizm jednostki uwikłanej w splot zdarzeń, które wywołują pogardę wśród towarzyszy walki, dramat taki nie został właściwie rozegrany. Bohater odchodzi, rezygnuje z wyjaśnienia sprawy. Dlaczego przyjmuje postawę determinacji? Nie wiemy? Czy dlatego, że jego alibi mogą poświadczyć tylko zbrodniarze unikający kary w NRF? Czy naprawdę w Polsce istnieją takie sytuacje moralno-prawne, że aby coś udowodnić, trzeba odwoływać się aż do groteskowych sędziów bońskich i ich śmiesznych „wyroków"?

Nie znaczy to, że nie należy parodii sądów bońskich nie dostrzegać. Słusznie ich rolę wypunktował reżyser. Ale dał tu tylko fragment wypowiedzi publicystycznej, w całym filmie chyba najbardziej przekonywującej i najbardziej wartościowej. Do przyjemności nie należy wytykać usterki warsztatu, twórcy takich dobrych pozycji filmowych jak przedwojenne filmy: „Szaleńcy", „Szyb L 23", czy powojenne: „Zakazane piosenki", „Skarb". Po co jednak wybudowano olbrzymią dekorację kilkupiętrowego domu z zegarem? Czy tylko po to, ażeby zrobić dwa, trzy ujęcia tej martwej dekoracji w planie ogólnym i dwa najazdy transfokatorem na zegar? Trudno uwierzyć, że autorem zdjęć jest Jerzy Wójcik, operator filmów: „Nikt nie woła" i „Matki Joanny od Aniołów". Czemu wreszcie ma służyć scena w sądzie i postać świadka Żyda wykrzykującego — „Mordercy!"? Czyżby realizatorzy wątpili, że publiczność jest aż na tak niskim poziomie percepcji, że trzeba jej w ten sposób podpowiadać?

Mówiło się, że „Czas przeszły" będzie filmem aktorskim. Rzeczywiście, aktorzy są i to nie byle jakiej klasy: Alina Janowska, Gustaw Holoubek, Adam Hanuszkiewicz, Tadeusz Łomnicki, Cezary Julski. Niestety, nawet najlepszy aktor nie stworzy kreacji, kiedy ma do dyspozycji fatalnie napisaną rolę z bombastycznymi, rojącymi się od „złotych myśli" dialogami.

Gustaw Holoubek i Seweryn Butrym w filmie „Czas przeszły"

MARLON BRANDO

Reklama jest dźwignią handlu czyli MIŁOŚCI MARLONA BRANDO

Marlona Brando, jednego z najwybitniejszych aktorów Hollywood, zobaczyliśmy na naszych ekranach dopiero przed kilku tygodniami w filmie „Młode lwy". Brando wywodzi się z głośnej szkoły aktorskiej Kazana i Strasberga istniejącej od lat w Nowym Yorku. Szkoła ta wydała m. in. Montgomery Clifta („Młode lwy"), Anthony Quinna („La strada", „Pasja życia"), Jamesa Deana („Na wschód od Edenu") i in. Gra Marlona Brando mimo niezaprzeczalnych wartości artystycznych, trąci jednak pewną irytującą manierą. Maniera ta ledwo dostrzegalna w jednym filmie uwidacznia się z całą jaskrawością po obejrzeniu kilku jego kreacji.

Brando gra przede wszystkim siebie samego, pięknego nieodpartego Marlona Brando. Mało który aktor zdradza tak wyraźne predylekcje do narcyzmu. Kapryśny, próżny, niekoleżeński, myśli wyłącznie o sobie, a w pierwszym rzędzie o uwydatnieniu walorów zewnętrznych swej postaci. Partnerzy niemal dlań nie istnieją.

Brando uchodzi za jednego z najbardziej uwodzicielskich Don Juanów Hollywood. Najbardziej uwodzicielskiego i zarazem najbardziej niestałego. Legenda, jaka wokół niego powstała w tej materii, jest jednym z chwytów reklamowych, dzięki którym zręczny aktor już od dłuższego czasu utrzymuje się na kapryśnej i burzliwej powierzchni hollywoodzkiego świata. Brando odszedł pod tym względem od tradycji najsławniejszych amantów amerykańskich starego pokolenia z Clarkiem Gable i Gary Cooperem na czele, którzy na ogół wiedli cnotliwy i mieszczański żywot u boku swych zacnych żon i familii. Ich śladami poszli również tej klasy amanci co Gary Grant i Gregory Peck.

Ale Marlon Brando nie jest uwodzicielem tuzinkowym, pospolitym jak choćby taki Frank Sinatra. Ma swoje bardzo precyzyjnie określone gusty.

Jeśli chcesz podobać się Marlonowi Brando musisz być, jak informuje „Cinemonde":

1) duszą towarzystwa jak Rita

25-letnia Rita Moreno bawiła „niezdobytego". Uwielbiał jej wdzięki, jej wesołość.

2) subtelną jak Anna

Anna Kashfi była jednak zbyt subtelną. Udawała uległą, by zdobyć pozycję żony. Ich miodowy miesiąc trwał zaledwie kilka godzin.

3) trwożliwą jak Nancy

Nancy Kawn postanowiła uciec przed nim.

4) uległą jak France

France Nuyen, bohaterka scenicznej wersji „Świata Suzy Wong" za bardzo ufała słowom hollywoodzkiego Apollina. Szybko musiała zrezygnować ze swych złudzeń.

5) tajemniczą jak Rebeka

Rebeka była jego przyjaciółką w czasie pobytu w Paryżu, latem ubiegłego roku. Czy myśli on jeszcze o tej czarującej paryskiej modelce?

6) świeżą jak Tarita

Tarita, czystej krwi Tahitianka, partnerka Brando w filmie „Bunt na Bounty" podobno reprezentuje pod każdym względem ideał kobiecej urody i wdzięku w oczach hollywoodzkiego Don Juana.

(wg „Cinemonde")

mieszanka FILMOWA

W następnym tygodniu 2 strony Mieszanki Filmowej

WIOSNA w GIŻYCKU

Dalszy ciąg ze str. 1

ne szeroko i rozpropagowane. Ci co tego dokonali, miłośnicy jezior, ich ciszy, urzekającego piękna, dziwów pierwotnej przyrody dziś na pewno plują sobie w brodę. Na Mazurach nie ma już bowiem ani samotnych, bezludnych wysp, ani cichych biwaków nad brzegami jezior. Mazury są energicznie eksploatowane ale widać nie dość energicznie skoro plany są za każdym razem szersze.

Ponieważ latem, to znaczy w lipcu i sierpniu, zagęszczenie turystów na metr kwadratowy jest takie jak w centrum Łodzi, organizatorzy ruchu turystycznego na Mazurach proponują, jak się zdaje, niezły interes tym co lubią ciszę i spokój, świeżość widoków i czystych nieskażonych ludzką stopą (i nie tylko stopą), bindug i brzegów leśnych. Powiadają: przyjeżdżajcie do nas już w maju i czerwcu. Niekoniecznie musicie mieszkać w namiotach. W Giżycku, Mikołajkach, Piszu i Węgorzowie przygotowano już 1.000 miejsc w prywatnych kwaterach. Cena za dobę 15—30 złotych. Pokoje 2, 3 i 4 osobowe. PTTK uruchamia nowe schronisko w starym zamku w Rynie (200 miejsc) w tym sto w pokojach dwu osobowych. Ceny: od 12—20 złotych, za dobę. Są też miejsca w ośrodku w Wilkasach. 80 domków campingowych w tym ośrodku będzie czynnych od lipca, a jeśli pogoda dopisze nawet od czerwca. Koszt wynajęcia domku dla dwóch osób: 35 zł za dobę. Stanica wodna w Kamieniu dysponuje 180 miejscami, a w Rucianych czeka na turystów — wcześniaków 150 miejsc.

T tylko relacja o możliwościach PTTK. A przecież działa tu jeszcze FWP „Orbis" towarzystwo „Warszawa-Olsztyn". Dodajmy jeszcze do raportu o stanie przygotowań i to, że PSS w Giżycku obiecuje wydawać dziennie w sezonie 10 tys. posiłków, uruchomiono już linie autobusów miejskich w Giżycku do ośrodka GKKF nad Kisajnem i do Wilkas (bilet 1.80—2.40 zł) co niewątpliwie miejscowi taksów karze powitali zgrzytaniem zębów. A dalej obok popularnych stateczków-sklepów „Jaś" i „Małgosia" w tym roku pływać będzie po jeziorach stacja benzynowa CPN, ponadto w sezonie czynne będą w Giżycku, a powinny być chyba i w Węgorzowie i w Mikołajkach — spożywcze sklepy nocne.

Zobaczmy jednak — czego nie będzie jeszcze w tym sezonie.

Nie będzie strzeżonych campingów. Podobno miejsca na nie są wyznaczone ale nie ma kto pilnować.

Nie pomyślano też w skali całych Mazur, o uruchomieniu ośrodków rozrywkowych, które na wypadek niepogody, częstej tu przecież, byłyby miejscem schronienia i miłego odpoczynku dla setek indywidualnie czy grupowo wędrujących osób. Ten postulat wysuwała już w roku ubiegłym prasa olsztyńska zwracając uwagę na fakt, że w turystyce obserwuje się wzrost wymagań i zrozumiały odwrót od koniecznego kiedyś prymitywizmu do jakiegoś wygodniejszego urządzenia się na Mazurach. W Giżycku nadal będą czynne tylko dwa ciasne i drogie lokale „Polonia" i „Orbis". Tymczasem w nowych blokach jakie oddano do użytku w centrum miasta, wielkie sklepy przeznaczono na sprzedaż tkanin, butów itp. artykułów. Oczywiście pamiętajmy, że sezon mazurski nawet w wypadku pomyślnej realizacji planów rozszerzenia go na maj, czerwiec i wrzesień trwać będzie pięć miesięcy. A co przez pozostałe siedem? Otóż nie ma w Giżycku jakiejś operatywnej giętkości. Boć można było zrobić lokale uniwersalne zamieniane na lato w bary szybkiej obsługi, kawiarnie czy sale do tańca, a w zimie sprzedające jedwabie...

Nie jest też za dobrze z wypożyczaniem sprzętu żeglarskiego. Z jednej strony na licznych kursach szkoli się co roku dziesiątki żeglarzy, z drugiej mimo posiadanych przez nich uprawnień nikt nie jest w stanie zapewnić im wypożyczenia potrzebnej liczby żaglówek czy jachtów. W tej dziedzinie co roku obserwuje się na Mazurach zjawisko samowolnego podbijania cen, kumoterstwa i łapówkarstwa. Ceny za wypożyczenie łodzi żaglowej czy jachtu są w sezonie bardzo wysokie np. łódź klasy „Omega" — 120 zł za dobę, a jacht większy nawet i 200 zł.

Najbardziej niepokojący jest jednak fakt przesunięcia na następny rok organizacji ochotniczego pogotowia mazurskiego. Ma być ono wzorowane na tatrzańskim pogotowiu górskim GOPR. Ma mieć do swej dyspozycji szybkie łodzie motorowe półślizgi, aparaty do nurkowania, drużyny płetwonurków, zespoły radiostacji i specjalną sieć telefoniczną. Bazy pogotowia będą się mieścić w Giżycku, Ruciane i Mikołajkach. O konieczności działania takiego pogotowia już dziś nie potrzeba nikogo przekonywać z wyjątkiem, jak się zdaje, miejscowych władz.

Objawiają one stoicki spokój o losy turystów, którym nie raz grozi na jeziorach śmiertelne niebezpieczeństwo. Pytam jednego z kierowników tutejszego ruchu turystycznego ile osób utonęło w roku ubiegłym na Mazurach. Nie przypomina sobie żadnego wypadku.

A na Śniardwach? — powiadam. Trzy osoby z Warszawy naraz?

Służba wodna MO jakkolwiek bardzo aktywna nie podoła trudowi kontroli i ratownictwa. Pogotowie Mazurskie musi więc powstać możliwie szybko.

Pragnę przedstawić również projekt, który rozważaliśmy w czasie niejednego Mazurskiego rejsu. Mianowicie chodzi o uruchomienie niedużej radiostacji, która w sezonie turystycznym na Mazurach obsługiwałaby informacyjnie całe pojezierze. Prawie każda grupa turystów posiada dziś już bateryjne odbiorniki radiowe. Radio przynosiłoby im wiadomości o tym gdzie aktualnie znajdują się pływające statki sklepy, a gdzie będą na przykład tego samego dnia po południu. A komunikaty o pogodzie, o nadchodzącej wichurze? A pilne wiadomości czy wezwania dla turystów siedzących w jakiejś odległej okolicy, czy musi nadawać radio Warszawa?

Z czego ma się utrzymać taka turystyczna radiostacja? Z reklam środków odżywczych i wszelkich innych, z koncertów życzeń itd. A poza tym niechaj nadaje powtórzenia dzienników radiowych, audycji estradowych i koncertów radia z całego roku oraz dobrą muzykę. Trzeba bowiem pamiętać, że radiostacje centralne i Olsztyn w dzień są na jeziorach słabo słyszalne. Nieoceniona też może się okazać pomoc radiostacji w razie wypadku na jeziorze — jeden komunikat może błyskawicznie ściągnąć pomoc z najbliższego sąsiedztwa.

Propozycję tę przekazujemy władzom doliny jezior.

Oprócz tego, odnoszę wrażenie, że jak zwykle rybek nie będziemy jadać na Mazurach. Oczywiście w barach i restauracjach, skoro nie ma ich tam na lekarstwo nawet w kwietniu. Były podobno zimą. Jeden zaciąg leszcza spod lodu dał tu siedem ton ryby! Rybacy zarobili od razu po pięć tysięcy złotych. Wzywano kronikę filmową i telewizyjną. Ogromna góra leszcza czekała na lodzie jeziora przez kilka dni by pokazać ją ludziom z całego kraju.

Ale żaden operator nie przyjechał. Szkoda, bo choć w ten sposób uwierzylibyśmy, że na Mazurach są ryby. No i byłyby te ryby w Łodzi. Choć na ekranie kin czy telewizorów.

Skoro już mowa o rybach to na zakończenie wiosennej relacji z Giżycka wiadomość, która oszołomi wszystkich amatorów uczciwego wędkarstwa. Otóż pan Mieczysław Jakubiec, kier. Biura Obsługi Ruchu Turystycznego PTTK w Giżycku poinformował mnie, że załatwiono już sprawę krótkoterminowych kart wędkarskich dla turystów i wczasowiczów. Karty takie mają sprzedawać gospodarstwa rybne PGR po 20 zł na dwa tygodnie łowienia. Doprawdy, aż się nie chce wierzyć że PZW zgodził się na takie ustępstwo. A ponieważ wierzyć się nie chce podaleme na wszelki wypadek nazwisko informatora. W każdym razie życzę pomyślnych połowów i miłego urlopu na Mazurach. Już w maju.

Tekst i zdjęcia:

WIESŁAW MACHEJKO

Nad Kanałem Łuczańskim

Giżycko, nowe bloki w śródmieściu

Suknia damska z dzianiny. Suknia o linii prostej, przewiązana paskiem poniżej talii, bez rękawów. Zapięcie na całej długości, wykończone plisą.

Suknia o linii prostej rozpinana do dołu. Kieszenie nakładane. Pasek zapięty poniżej talii. Dekolt w kształcie „karo".

Suknia o linii lekko dołem zamykającej, obniżonej talii, lekko dopasowanej górze, rękaw krótki i wąski, dekolt okrągły, mały.

Suknia dziewczęca na okazje uroczyste. Suknia o linii rozszerzonej, odcinana w talii, przewiązana krótkim paskiem. Góra sukni lekko dopasowana o małym okrągłym podkroju szyi. Rękawy krótkie. Zapięcie ozdobione małymi falbankami.

(Dalszy ciąg ze str. 1)

deuszów. I chyba właśnie w Łodzi — siedziba najlepszego w kraju wzornictwa mody męskiej, ośrodka produkcji ubiorów powinien powstać „Tadeusz". Będzie on jednak musiał nadrobić dystans dzielący go od „Telimeny" i mody kobiecej w ogólności. A moda dla płci pięknej była zawsze najbardziej interesującym i powabnym składnikiem kultury, wyrazem wyrobienia estetycznego i gustu.

Nowoczesny sposób ubierania, modna linia zstąpiły do życia codziennego. Człowiek co krok napotyka modę, czasem z jej powodu potyka się, bowiem szpilki i łódzkie chodniki stanowią pewną sprzeczność (nieantagonistyczną!).

Bywało już wiele modnych wiosen, lecz tegoroczna szczególnie pęcznieje świeżością linii, ponętnymi barwami, pięknym kształtem sylwetki. Małym przedsmakiem uroków majowych były słoneczne dni kwietnia. Prawda, jak „szałowo" wyglądała wtedy Piotrkowska? Niemal jak wybieg w Filharmonii podczas rewii.

* * *

— Nie pójdę na żaden pokaz mody. Szkoda nerwów. Po rewii ogarnie mnie najpierw panika, a potem chandra. A już bałwochwalcze zachwyty Tadeusza nad modelkami doprowadzają mnie do szewskiej pasji — mówi moja przyjaciółka.

— Przecież moja żona tak nie może wyglądać — konkluduje Tadeusz. — To dobre dla modelek na rewii. Jakieś ekstra materiały, fasony.

Czy może nazbyt wymyślne, dziwaczne? Nie. Dzisiejszy strój jest nad wyraz prosty, kolory wcale nie jaskrawe, stonowane, dyskretne. Skąd więc te narzekania?

W zamyśle naszych artystów plastyków model zdąża do przeciętności, przeznaczony jest bowiem zazwyczaj do pomnożenia na taśmie produkcyjnej. A tymczasem w oczach ludzi bywa często czymś niezwykłym. Gra tu chyba rolę zespół czynników pod ogólną nazwą kultury ubierania się. Tej kultury nabywamy poprzez kształcenie, wychowanie, no i dzięki jej. Jedne małymi dawkami, psychicznej — chęci podobania się oraz naturalnej pasji człowieczej do nadążania za... postępem, za urokami mody.

Cóż, mody trzeba się również uczyć. Kobiety uczą się jej. Jedne małymi dawkami, przelotnie, przy okazji prasowej publikacji, inne całymi haustami. Czytają pisma o modzie, oglądają wystawy, pędzą na rewie mody, słuchają prelekcji. I dziś mało kto za te zainteresowania pomówi białogłowę o pustotę, czy lekkomyślność. Sama gotowość do ładnego, estetycznego, praktycznego, modnego ubierania się to już duży postęp, ale jeszcze za mało wiemy na temat mody i w ogóle zasad ubierania się.

Powstała więc potrzeba dobrego, fachowego, kulturalnego poradnictwa. Podobnie jak porad lekarskich, czy prawnych. I to dla przeciętnych kobiet. Pożyteczny krok uczyniła w tym względzie „Telimena", dając pokazy mody z prelekcją (na Widzewie, dla Śródmieścia, dla Zakładów im. Niedzielskiego). Kobiety często dyskutują o strojach, ale są to zazwyczaj „rady przyjaciółek", rzadko natomiast mają okazje do zasięgnięcia opinii artysty-plastyka, bądź wytrawnej krawcowej, która łączy umiejętność szycia z ogólną wiedzą o przedmiocie (gdy zaś łączy, każe sobie słono płacić). Toteż prelegentkę zasypywano oklaskami, wyrazami wdzięczności i pytaniami. „Co nosić i kiedy", „jak kompletować dodatki?", „Czy mnie byłoby dobrze w takim kostiumie?". „Zapłaciłam 700 zł za suknię z dzianiny i mąż nie pozwala mi jej nosić". „Dlaczego na modelce to wszystko wygląda ładniej"? „Co zrobić z podniszczoną suknią wizytową? Czy wypada włożyć ją do pracy"? „Dlaczego w sklepach z odzieżą nie można się poradzić co kupić?" Uff! Pytań mnóstwo. Prelegentka odpowiada cierpliwie i taktownie.

— Strój trzeba komponować jako zwartą całość. Płaszczyk, suknia, pantofle, torebka, rękawiczki, kapelusz... Trudno oczywiście posiadać kilka kompletów. Ale można stosować różne wersje, odmiany.

Na podium wchodzi modelka.

— O proszę, ta sama sukienka z innym żakietem i biżuterią nadaje się do teatru.

I oto inny nieco szokujący widok. Najelegantsza modelka p. Danusia pokazuje się ubrana dość przedziwnie. Do sukni w fałdy luźny żakiecik, na szyi apaszka w turecki deseń, torebka sportowa, kapelusik pikowany. Każda część garderoby z osobna nawet ładna, a całość brzydka.

— To była próbka źle skomponowanej całości. Nie kupujmy, proszę pań, fatałaszków tylko dlatego, że nam się podobają. Wybierajmy tak, żeby pasowały do posiadanych już strojów. Płaszczyk, torebka najlepiej w kolorze neutralnym, beżowym, cielistym, jednym słowem spokojnym...

— ...Do pracy proszę nie nosić starych wizytowych sukien. Raczej przerobić, odświeżyć...

— „Dla mnie ważniejsze jest w czym kobieta chodzi po domu, niż to w czym wychodzi" — również i ta męska złota myśl znajduje podczas prelekcji odpowiedni komentarz. Strój domowy bowiem podlega nader surowym i ważnym kanonom mody i kultury codziennego życia. Powłóczysty szlafrok z błyszczącej, kwiecistej tkaniny z podwiniętymi szerokimi rękawami (aby nie utopiły się w mleku) został wyparty przez zgrabne podomki, bądź proste z taniej tkaniny sukienki tzw. domowe zapinane na guziki, skomponowane często z fartuszkiem w kolorach pogodnych, cieplych, o nieco żywszym, śmielszym zestawie barw. Na głowę odpowiednia chusteczka (chroni od kurzu i przykrywa papiloty). Albo takie komplety: spodnie ze sweterkiem, bądź bluzką czy wdziankiem (choć, uwaga, nie do każdej figury nadają się spodnie).

— A do pracy? Co najpraktyczniejsze, no i najładniejsze?

— Kilka bluzek łatwych do prania: lżejszych i cieplejszych oraz jedna lub dwie dobre spódnice nie gniotące się.

— A co ze strojem na niedzielę?

Pytanie bardzo charakterystyczne dla Łodzi i jeszcze wielu miast. Domy mody nie rozróżniają stroju niedzielnego i powszedniego. To zależy dokąd wybieramy się w niedzielę — odpowiadają fachowcy — jeśli na wycieczkę to strój sportowy, jeśli z wizytą to wizytowy. Tymczasem nasze ulice, parki, zapełnia w niedzielę właśnie odświętny tłum najmniej chyba racjonalnie ubrany. Kobiety w rzadko noszonych czółenkach ledwie powłóczą nogami, lilaróż jaskrawe płaszczyki, srebrne lisy, najlepsze chabrowe sukienki, cisnący, niedzielny gorset, „nowe" od paru lat kapelusze. Wszystko co w szafie najdroższe — na niedzielę..

* * *

A więc pośrednictwo. Ale kto ma je prowadzić i jak? Punkty usługowe? Niech się zwie jak chce. Potrzeba więcej kultury ubierania, potrzeba więcej kultury sprzedaży ubiorów. W Łodzi istnieją ku temu świetne warunki. Mamy tu ośrodek wzornictwa wszystkich tkanin, odzieży, dziewiarstwa, laboratoria, producentów, zastępy zdolnych, wytrawnych plastyków, szkołę sztuk plastycznych, szkołę włókienniczą, wytwórnię filmów fabularnych, studio telewizyjne, Pałac Sportowy, ruchliwy handel i niezwykle chłonne na modę społeczeństwo z przewagą młodzieży i... kobiet. W Łodzi więc istnieje szczególny popyt na dobrą modę (linię Diora ze spłaszczonym biustem i wysuniętymi naprzód biodrami — zostawiamy na uboczu) i to na modę promieniującą na kraj.

HALINA ŻYŻKA

ON, ONA i ta trzecia

Suknia dwuczęściowa z dzianiny jedwabnej. Spódnica prosta, góra wykładana na spódnicę. Rękaw krótki oraz dekolt wykończony białą plisą.

Płaszcz i ubranie męskie. Płaszcz o linii włoskiej, typu sportowego. Rękawy kimonowe wszyte w karczku. Marynarka sportowa prosta. Spodnie bez mankietów, wąskie na całej długości.

MAREK WAWRZKIEWICZ

Epitafium

poecie Markowi Wawrzkiewiczowi

A jeszcze zanim napiszę nekrolog
Paszkwil na biały płomień, który trawi wiersze
Porozumiem się z palcami rąk swoich
Aby się na zamianę zgodziły bolesną
Aby je można było położyć na lodzie
Naznaczę im drogę, którą wejdą w piasek
Naznaczę im miejsce urodzin owocu
Urodzin w czas owoców cierpkich bardzo

A jeszcze zanim przyznam się do związku
Który mnie z sosną łączy niewątpliwie
Zanim urośnie kamień z mokrej ziemi
Przeproszę swoje oczy, że tak je przeznaczam
Na ciemność i na światła widzenie tak martwe
Że im odmawiam nabożeństwa ruchu
Wilgoci słonej i całkiem bezbarwnej

A jeszcze geografię rozrzuconych włosów
Opiszę bardzo barwnie i bardzo troskliwie
Zanim ułożą się w gniazdo bezpieczne
Odkąd się zacznie twardy sosny korzeń

A zanim wejdę w ten kwadrat bezruchu
Będę jeszcze oddychał na zapas
W bezsensownej nadziei, że istnieje oddech
Że jestem w oceanie czystego powietrza

Gustaw Lutkiewicz (Tarelkin i Kopytow) i Sławomir Misiurewicz (General Warrawin) Fot. G. Puciato

Gustaw Lutkiewicz (Tarelkin i Kopytow) *Foto. G. Puciato*

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

ŚMIERĆ TARELKINA

Rzecz zaczyna się od wielkiej metafory. Tarelkin czyni przygotowania do pogrzebu Tarelkina. Rozmowa z kukłą, która zostanie niebawem pochowana, jest majstersztykiem — przede wszystkim aktorskim — potem, nim zejdą się goście żałobni, Tarelkin, by śmierć swoją uprawdopodobnić, wpycha do trumny kilka zgniłych ryb. Tu kończy się teatr, autor miał znakomity pomysł, ale pomysł się wyczerpał, wobec czego autor zaczyna rozprawiać się z reżimem. Ryby jednak cuchną nadal, ten zapaszek śmierci i gnicia unosi się nad całą sztuką, to cuchnie system, to cuchną ludzie systemu. Gnicie nie jest wszakże równoznaczne z kapitulacją, to nie koniec, to dopiero początek, system rozkłada się i trwa, cuchnie i trwa, gnije i trwa. Ten gnijący system jest jeszcze dostatecznie silny, potrafi zniszczyć Tarelkina, kiedy ten spróbuje wystąpić przeciw hierarchii i przeciw regułom gry.

System ni wybacza bowiem nikomu, winni są wszyscy, winny jest ziemianin i dozorca, praczka i kupiec korzenny, ten, który coś widział i ten, który o czymś słyszał. Winny jest także Tarelkin, choć ten nie jest, rzecz jasna, bierną i nieświadomą ofiarą Sił Społecznych. Jest jednak przez owe Siły zrodzony — a potem dręczony i torturowany — i choćby dlatego należy mu się odrobina współczucia. Choćby dlatego, że jest, mimo wszystko, draniem heroicznym. Tak, jak sądzę, wyglądał zamysł autorski nienawiść Suchowo-Kobylina zdaje się zwracać nie tyle przeciw Tarelkiniowi ile przede wszystkim przeciwko reprezentantom systemu, konkretnie, przeciwko umundurowanym reprezentantom systemu, przebiegłym i podłym, głupim i okrutnym. Zamysł Bogdana Korzeniewskiego, który „Śmierć Tarelkina" w Teatrze 7,15 inscenizował, wyglądał nieco inaczej. Korzeniowskiego interesował Tarelkin i tylko Tarelkin, podłość Tarelkina i strach Tarelkina, triumf Tarelkina i upadek Tarelkina. Poza Tarelkinem jest jeszcze na scenie stadko głupców, komisarz Och, salutujący nogi cara — batiuszki. Rasplujew, tańczący hopaka przed portretem cara — batiuszki, operetkowi policjanci i operetkowi wierzyciele. Ten balet urzędniczy nie jest jednak ani dostatecznie wstrętny ani dostatecznie przerażający, ten balet jest tylko śmieszny, zaledwie śmieszny, policjant, czekający z utęsknieniem na łapówkę i pożerający ku rozbawieniu publiczności olbrzymie misy z serem, ogórkami i kiełbasą, przestaje być symbolem systemu, staje się symbolem obżarstwa i chciwości. Można, rzecz jasna, brzydzić się systemem, którego reprezentanci grzeszą obżarstwem, ale system taki — nawet w prześladowanych — nie będzie budził przerażenia, tylko śmiech.

Wstrętny i przerażający jest w spektaklu Korzeniewskiego tylko Tarelkin, to cuchnące ścierwo wprasza się do naszych mieszkań, oferuje swoje usługi, może być rządcą w majątku, administratorem dóbr, donosicielem w biurze. Strzeżmy się Tarelkina, powiada Korzeniewski, ten żywy trup może nam zagrozić, może nas opętać, może nas zniszczyć i wykończyć, jego pomysłowość jest niewyczerpana, jego przebiegłość ie ma sobie równej, każde z jego dziesięciu przykazań może nas przyprawić o drżenie łydek. Tarelkin jest i Tarelkina nie ma, pojawia się wszędzie i zawsze. Korzeniewski wybrał Rosję i wiek XIX, powiedzmy jednak raczej, to autor narzucił inscenizatorowi Rosję i wiek XIX. Śmierć Tarelkina jest pozorna, umarł w Rosji, pojawi się gdzie indziej, pochowana zostaje zawsze kukła, duch jest natomiast nieśmiertelny.

Rasplujew ma rację, choć Tarelkin nie żyje, nadal zagraża nam widmo, wampir duch nieczysty. Korzeniewski — jeśli tak rzec można — uwierzył Rasplujewowi i Tarelkina zdemonizował (ten zabieg sprzyjał oczywiście aktorowi i Gustaw Lutkiewicz grający — znakomicie!

— Tarelkina, mógł pozwolić sobie na rezygnację z cech drugorzędnych, osadzających postać w wieku XIX; o to, że — chyba wbrew reżyserowi — budził jednak współczucie, trudno go zapewne oskarżać). Myślę, że na postawie Korzeniewskiego zaważyło zresztą nie tylko zdanie Rasplujewa i bardziej znaczący był tu zapewne przykład awangardowej dramaturgii i powieści XX wieku, chętnie przecież demonizującej i stosunki społeczne i bohaterów. Choć, oczywiście, od inscenizatora należałoby żądać konsekwencji. Jeśli już zdemonizował Tarelkina, powinien chyba zdemonizować także i Rasplujewa. A przynajmniej nie powinien kazać mu tańczyć hopaka.

A. Suchowo-Kobylin „Śmierć Tarelkina". Insc. i reżyseria B. Korzeniewski, scen. X. i R. Zaniewscy. Premiera w Teatrze 7.15.

MARIAN PIECHAL

SEDNO RZECZY

DOSKONAŁOŚĆ I BŁĄD

Doskonałe są podobno tylko definicje, abstrakcyjne twory naszego umysłu. Rzeczywiście tabliczka mnożenia jest bezbłędna czyli doskonała. Ale tylko wtedy, gdy traktujemy ją abstrakcyjnie, to znaczy w oderwaniu od rzeczywistości praktycznej. 2 razy 2 jest 4. Ale kiedy w rzeczywistości liczba 2 będzie oznaczać w jednym wypadku np. 2 szpilki, a w drugim wypadku np 2 raki, to liczba 4 w każdym z tych wypadków będzie oznaczała co innego. Albo 2 plus 2 równa się 4. Ale kiedy w rzeczywistości 2 jabłka zdrowe dodamy do 2 jabłek zgniłych to czy liczba 4 będzie miała wtedy dla nas jakiKolwiek praktyczny sens? Oczywiście matematyk się oburzy, że mieszam tutaj dwie różne dziedziny — miary i wartości, które są z różnych parafii. Cóż jednak poradzę na to, że w życiu codziennym dwie te dziedziny mieszają się ze sobą i łączą nierozerwalnie. Sztuka, a zwłaszcza literatura piękna, która jest wiernym odbiciem życia praktycznego przede wszystkim, świadczy o tym i, zdaje się, jest to jednym z naczelnych jej zadań. Dlaczego?

Dlatego, że naczelnym zadaniem sztuki jest stawianie nowych problemów czyli rozbijanie starych i zastarzałych opinii, sądów i definicji, które fałszują rzeczywistość. Dlaczego fałszują? Bo wszelkie opinie, sądy i definicje są, jeśli tak można powiedzieć, procesami usztywniającymi, unieruchamiającymi, zamrażającymi gorącą, żywiołową, płynną i ciągle zmienną magmę rzeczywistości. Dlatego sztuka, a zwłaszcza literatura, odkłamuje życie przez to, że właśnie obnaża nową, narastającą nieustannie rzeczywistość spod starych masek nieaktualnych już sądów, które stały się przesądami i tamują jego dalszy rozwój. Rozbija skorupę przestarzałych opinii i definicji o życiu i różnych jego sprawach, ułatwiając i przyspieszając tym samym wyklucie się nowej rzeczywistości — lepszej, bo ogarniętej szerszymi możliwościami świadomego rozpoznania i działania. W ten sposób sztuka staje się historiotwórczym wynikiem postępu.

Czyżby więc sztuka była wrogiem wszelkiej abstrakcji i abstrakcyjnej logiki? Nie. Przecież istnieje malarstwo abstrakcyjne, tak samo literatura, a nawet muzyka. Ale tutaj pojęcie abstrakcji co innego znaczy, a logika niekoniecznie musi być abstrakcyjna. Abstrakcja w sztuce i literaturze może oznaczać, choć nie zawsze tak się dzieje — niezgodę na zastaną rzeczywistość, bunt wobec ustalonych sądów, opinii i definicji, a logika idzie torem realnych faktów, a nie torem idealnych pojęć. Dziedzina faktów bardzo często różni się od dziedziny myśli. Tak właśnie jak rzeczywistość od marzenia, a błąd od doskonałości. Dlatego nieraz tak trudno porozumieć się praktycznie myślącemu literatowi z abstrakcyjnie myślącym matematykiem, aczkolwiek obaj myślą i rozumują logicznie. Ale logika logice nierówna. Jest logika faktów i jest logika pojęć. Logika pojęć wyłącza błąd, którego nie może wyłączyć logika faktów. Dlatego pierwsza jest niedoskonała, lecz życiowa, a druga jest doskonała, lecz wyabstrahowana z życia.

Często się słyszy od prostych ludzi, gdy im czyjeś argumenty nie odpowiadają, powiedzenie: „Ja mam swoją logikę". I mają ze swojego punktu widzenia rację. Otóż każdy z artystów ma taką właśnie swoją i swoistą logikę, opartą na odrębnym, właściwym tylko jemu, sposobie widzenia rzeczywistości. Dla artysty tłumaczyć świat logicznie, to widzieć jego zalety i wady, aby przedstawiać je w swoich dziełach, które przecież mają być wiernym zwierciadłem tego świata. Niedoskonałość rzeczywistości odbija się w niedoskonałości dzieła. I takie dzieła stoją bliżej życia, niż dzieła doskonałe. Idealna postać Antygony jest mniej życiowa od mniej idealnej postaci Anny Kareniny lub Ewy Pobratyńskiej. To samo dotyczy dzieł sztuki. Doskonałe dzieło sztuki umiera śmiercią bezpotomną, nie budzi fermentu, nie jest zaczynem czy zarodzie nowych dzieł. Wenus z Milo, Piąta Symfonia czy „Pan Tadeusz" są jako forma sztuki niepowtarzalne, można je tylko parodiować i karykaturować, natomiast „nielogicznego" i źle zbudowanego, a więc niedoskonałego jako dzieło sztuki „Hamleta" Szekspira, „Wojnę i pokój" Tołstoja lub „Braci Karamazow" Dostojewskiego można rozwijać dalej w niezliczonych i nowych wariantach, czego dowodem dzieła choćby takich pisarzy jak Shaw i Pirandello, Jonesco i Beckett, Gide i Żeromski, Proust i Joyce, Camus i Faulkner. Ich dzieła z kolei nie są doskonałe w sensie logiki matematycznej, ale to jest gwarancją, że są życiowe czyli płodne dla dzieł przyszłych.

Żaden autor nie ma kanonicznego prawa do błędu, ale jeśli go jednak popełnia, świadczy, że w dążeniu do doskonałości boryka się z materiałem życia, a nie z fikcją i abstrakcją. Szekspir umieszczający w jednej ze swych komedii Czechosłowację nad morzem, Mickiewicz mówiący w swej epopei o starym zegarze kurantowym z czasów przedkościuszkowskich, grającym Mazurka Dąbrowskiego jeszcze przed jego powstaniem, i Sienkiewicz opisujący w „Quo vadis?" grzebanie chrześcijan w trumnach, których wtedy jeszcze nie znano — popełniają błędy, które tym samym właśnie podkreślają że doskonałość ich dzieł związana jest z życiem, a nie z abstrakcją. Wszelki artyzm bowiem to doświadczenie zmysłów, a nie kombinacja pojęć. „Zaś artyzm — jak powiada Wyspiański w „Wyzwoleniu" — ma swoją logikę i nieodwołalność i jest cała prawdą, jeśli jest". Niedostatek zmysłowego odczuwania rzeczywistości powoduje błąd czyli nieprawdę, która jest skazana na atrymie czyli doskonałości dzieła sztuki. A zatem doskonałość to zgodność z prawdą — prawdą rzeczywistości życiowej.

Arcydzieło to ryzyko. Kto nie ryzykuje, ten nie błądzi, ale też i nie dochodzi do niczego. Tymbardziej do arcydzieła. A zatem nie ma innej drogi do arcydzieła jak tylko poprzez ryzyko czyli próbę błędu. Błąd, choć nie koniecznie musi się zdarzyć, to pouczająca miara doskonałości.

W dżungli upowszechnienia

(Dokończenie ze str. 1)

W tym miasteczku żaden inny literat długo nie będzie się mógł pokazać.

Pisaliśmy o tych zagadnieniach wiosną ubiegłego roku. Od tamtego czasu zmieniło się. Na gorsze. Oprócz literata-omnibusa zrodził się typ literata-konferansjera, zawodowo prezentującego innych literatów, poprzedzającego wieczory autorskie innych, pisarzy, spektakle teatralne, wszelkie imprezy kulturalne i nie tylko kulturalne. O tyle postać ta podobna jest do poprzedniej, że również jest mu „wsio ryba" o czym i gdzie będzie mówił. Wczoraj widzieliśmy go w telewizji, gdy dyskutował o repertuarze teatralnym, dziś usłyszycie go w radio jak opowiada o skomplikowanych zagadnieniach współczesnej młodzieży, jutro zobaczycie go w Klubie MPiK, gdy wygłosi prelekcję o... filozofii hinduskiej.

Narodził się także literat-„specjalista". Taki przygotuje sobie jeden temat, najczęściej jak najbardziej oddalony od typu twórczości, który sam uprawia. I z tym odczytem czy prelekcją przez długie miesiące obchodzi wszystkie łódzkie świetlice, objeżdża wsie i miasteczka. Mam w swej statystyce kilku takich, lecz dwóch jest szczególnie charakterystycznych. Pierwszy — poeta — najpierw miał cykl spotkań z czytelnikami zatytułowany „Wyzwolenie Łodzi", choć dalibóg w chwili, gdy Łódź wyzwalano, nie było go tutaj, ani sam też tej Łodzi nie wyzwalał. Gdy minął styczeń poeta ów rozpoczął cykl odczytów pt. „O powieści historycznej". Jest to tym dziwniejsze, że nie napisał nigdy nic „historycznego", nie splamił się żadnym artykułem na ten temat, w ogóle nikt go nie podejrzewał, że kiedykolwiek przeczytał powieść historyczną. Zabawne jest, że w tym samym czasie dwaj naprawdę znani łódzcy pisarze, autorzy powieści historycznych, Władysław Rymkiewicz i Stanisław Czernik — jak wynika ze statystyk — nie mieli żadnych wieczorów autorskich, nie danym im było mówić o powieści historycznej, która jest ich chlebem powszednim. Czy nie jest to upowszechnianie kultury na opak?

Albo drugi przykład. Nagle pewien poeta objawił się Łodzi i województwu jako prelegent o pewnym słynnym... muzyku. Jak dotąd poetę wspomnianego nie oglądano na żadnym koncercie, podejrzewano, że jest niemuzykalny. Zabawne jest, że jednocześnie prawdziwych znawców muzyki, potrafiących przemawiać popularnie i przystępnie, na próżno szukać w rejestrach prelegentów.

Tak rozumiane upowszechnienie kultury nie wydaje się niczym innym jak utajoną formą dotacji pieniężnych nie zawsze zresztą dla tych najbardziej potrzebujących. Tak rozumiane upowszechnienie wykrzywia obraz literatury polskiej w umysłach słuchaczy, dla których spotkanie z pisarzem winno być przeżyciem jedynym, niepowtarzalnym, często bowiem jest to rzeczywiście jedyne spotkanie z literaturą.

Mieszka w Łodzi trzech autorów piszących systematycznie powieści dla młodzieży. Czym tłumaczyć, że właśnie tych autorów nie eksponuje się w szkołach, w bibliotekach młodzieżowych, a zamiast nich spotykają się tam nie ze swoimi przecież czytelnikami, autorzy, którzy bardzo dawno temu, na długo przed wojną, wydali książki młodzieżowe, nie wznawiane dzisiaj i nie znane młodym czytelnikom?

Czym tłumaczyć eksploatowanie tych samych nazwisk? Rangą pisarską, ich rutyną, czy po prostu brakiem jakiejkolwiek myśli w polityce kulturalnej na tym odcinku?

Rok temu proponowałem spotkania z młodszym pokoleniem pisarskim. Dlaczego jednak każdy taki postulat, musi w Łodzi stać się karykaturą? Nie chodziło przecież o to, aby dziesiątkami wieczorów autorskich sypnięto dla młodych chłopców, autorów dwóch, trzech drukowanych wierszy, przyzwyczajając ich do łatwego zarobku polegającego na eksponowaniu kilku swoich wierszy? Ukazujące się w prasie anonse, że na *„wieczorku tanecznym, w przerwie między tańcami będzie czytał wiersze młody poeta X i Y"* mogą budzić tylko niesmak. Te wieczory autorskie za każdą cenę, wtłaczane między tańce, nie mogą mieć nic wspólnego z prawdziwie rozumianym upowszechnieniem literatury. Pisarze to nie są błazny, które za trzy stuzłotowe honorarium mają zabawiać publiczność „między tańcami".

Coraz liczniejsza grupa piszących odsuwa się od tak rozumianych „spotkań z czytelnikami", pozostawiając miejsce dla tych, którzy nie dbając o swą godność pisarską, traktują swe wystąpienia wyłącznie jako źródło szybkiego i nieobowiązującego dochodu. Spotkania z czytelnikami muszą się stać prawdziwymi spotkaniami autora z jego rzeczywistymi czytelnikami, tylko wówczas bowiem autor może się uczyć od swych czytelników tylko wówczas czytelnicy uczą się od autora. Skarżyło mi się niedawno kilku pisarzy, że coraz częściej zdarza im się odczuwać lekceważący stosunek, jaki wobec nich mają nawet organizatorzy poszczególnych prelekcji. Pisarze zaczynają być traktowani jak przysłowiowi „chudzi teraci", którym trzeba dać zarobić, nie ważne nawet do kogo i co będą mówili. Tu leżą źródła nieprzygotowywania publiczności do takich spotkań z pisarzami, tu jest źródło pustych jakże często sal odczytowych.

A przecież to nie jest błahe zagadnienie. Tylko w województwie łódzkim odbywa się rok rocznie około 3.000 odczytów, prelekcji i spotkań autorskich. Tyleż samo, a może i więcej (kto zna liczbę, kto?) mamy podobnych imprez w samej Łodzi. Sumy jakie państwo przeznacza na te imprezy idą w setki tysięcy złotych. Jeśli nawet założymy, że w pewnych warunkach będzie to niekiedy utajona forma dotacji, to niechże jednak pieniądze te nie idą całkiem na marne, i do uprzywilejowanych, a staną się rzeczywistym instrumentem upowszechnienia kultury.

To jest temat, który warto przedyskutować na walnym zebraniu łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich, a może przede wszystkim w Wydziałach Kultury i innych instytucjach zajmujących się upowszechnianiem kultury.

ZBIGNIEW NIENACKI

(2)

Wuj Roman włączył elektryczność. Pod jedwabnym, pomarańczowym abażurkiem lampy na niskim stoliku rozbysła żarówka, wypełniając pokój łagodnym, przyćmionym, złotawym światłem.

— Czuję się jednak trochę zmęczony — ziewnął. — Pozwolisz, że zejdę na dół po teczkę i palto, i rozlokuję się tutaj na noc.

Czekając na powrót wuja Romana, Paweł z rękami w kieszeniach stał przed portretem ojca, spozierając nań z ponurą uwagą.

Nie tylko moskal Shutleworth gościł w tym pałacu. W trzydzieści pięć lat później złożył ojcu wizytę hitlerowiec, kreisleiter NSDAP, powiatowy kierownik partii.

— In den unmittelbar darauf folgenden Jahren überflügelle die Zahl der Deutschen die der Polen so stark — słychać było słowa ojca rozmawiającego w gabinecie z kreisleiterem — dass damalige Lodsch eine deutsche Stadt genant werden kann.[1])

Ukryty za portierą w sąsiednim pokoju Paweł przeżywał męczarnie hańby i wstydu.

— Man könnte glauben, man befinde sich in einen vollständig deutschen Industriezentrum — mówił ojciec — so deutsch ist hier alles, die Vereine und Klubs, ihr Geist ist rein deutsch.[2])

Paweł zakrył usta ręką i wcisnął palce w policzki tłumiąc jęk oburzenia i wstydu za ojca.

Rozumiejąc do czego zmierza rozmowa, powziął wówczas decyzję opuszczenia rodzinnego domu. A teraz uprzytomnił sobie, że ten dom, ten szpetny pałac w stylu secesji, nigdy nikomu nie był prawdziwym domem ze wszystkimi dobrodziejstwami (bezpieczeństwa, ciepła ogniska domowego, przytulności), jakie zawiera w sobie to słowo, że to było tylko tymczasowe, jak hotel, miejsce pobytu dla mamy i dla stryja Michała, i dla wuja Romana, i dla ojca, który odbył długą drogę od rozmowy z general-gubernatorem Shutlewortem do rozmowy z kreisleiterem i odszedł z ewakuowanymi volksdeutschami, i dla niego, który już raz opuścił ten dom w 1940 r. po rozmowie ojca z hitlerowcem, i który jeszcze raz będzie musiał stąd odejść, tym razem pewnie na zawsze.

Poczuł na plecach rękę wuja Romana, który wrócił już z kuchni z teczką i z paltem przewieszonym przez ramię. — Ale powiedz mi, chłopcze, w jaki sposób udał ci się w 1940 roku przekraść z Łodzi do Warszawy?

— Pomógł mi w tym Pawlak. Pamięta wuj naszego ślusarza fabrycznego Pawlaka?

— Zaraz, zaraz. Pawlak? Czy to ten adwentysta, który wierzy w powtórne zejście na ziemię Chrystusa? — mówił wuj z nutką żartobliwości w głosie. — Naturalnie, że pamiętam. Jego ojciec starał się mnie kiedyś skaptować do adwentystów. Przez godzinę zaznajamiał mnie z przedziwnym planem zbawienia ludzkości z postanowienia bożego według widzeń siostry White z Lovette Grove w Stanach Zjednoczonych.

— Jego rodzice mieszkają w Dąbrówce, na dawnej granicy Gubernii Generalnej i Reichu, i przy ich pomocy udało mi się przekraść.

— No dobrze, a dalej? Co myślisz robić dalej?

Wuj Roman obszedł siostrzeńca przesuwając rękę z jego pleców na przedramię i stanął przed nim twarzą w twarz. Paweł z podniesioną głową, z opuszczonymi spoglądał z wysoka mi do połowy oczu powiekami spoglądał z wysoka chłodną obojętnością na wuja. — Cóż ja? Ja nie myślę o sobie! — Wywinięte wargi poruszały się nieznacznie. — Ja się uważam za człowieka apolitycznego. Mnie polityka nie interesuje — stwierdził z odpychającą niedbałością.

— Nie interesuje cię? Hm, żal mi ciebie, Pawełku. — Wuj Roman spojrzał na zegarek. — Późna pora, ale posłuchaj mnie chwilę, mój chłopcze. U bauera, u którego pracowałem, został zakwaterowany lejtenant, który w cywilu studiował prawdopodobnie filozofię. Przypadkowo znalazłem u niego broszurę jakiegoś nie znanego mi uczonego Waltera Ehrlicha pod tytułem „Das Problem der Zeit", Problem czasu". Człowiek za okupacji był tak wyjałowiony intelektualnie, że rzuciłem się na ten druk z żarłocznością głodomora. Otóż, według tego Ehrlicha, budowa czasu jest trójwymiarowa i piętrowa. — Wuj Roman uniósł dłoń nad dłonią, jak gdyby pokazywał niezwykły okaz złowionej ryby, którą trzymał jedną ręką za pysk, drugą za ogon. — Uważaj dalej, bo to bardzo interesujące! Każda chwila jest brzemienna przeszłością (którą Ehrlich nazywa — traditio) przyszłością (którą Ehrlich nazywa — intentio). W każdym momencie twego życia zawarta jest przeszłość i przyszłość. Tylko zwierzęta żyją czasem elementarnym, bez przeszłości i przyszłości. — Opuścił ręce. — A więc nie uwolnisz się, kochany (choćbyś nawet tego jak najbardziej pragnął!), ani od tradycji, ani od przyszłości, chyba żebyś przeniósł się na pustynię. Ale żyjąc między ludźmi — mówił z finezyjnym uśmieszkiem i słodkim tonem zjadliwej satysfakcji — musisz być takim, jakim byłeś, i jakim będziesz, to znaczy — synem przemysłowca z Łodzi, i obiecującym młodym człowiekiem, który oby nie zawiódł pokładanych w nim nadziei! Dlatego nie uwolnisz się od polityki. I dlatego musisz się zmienić. Dziś nie będzie można być „wyższym"! — W uśmiechu wuja Romana było coś obraźliwie lekceważącego.

— Wuja to drażni?

— Drażni mnie. — Ręka wuja Romana opadła z przedramienia siostrzeńca. — Drażni mnie, odpowiadam ci szczerze, bo ja żyję w realnym świecie faktów. Ja przez pięć lat okupacji czekałem z niecierpliwością na chwilę wyjścia Niemców. — Energicznie podniósł wierzch tapczana i wyjął poduszkę jedną, drugą, koc i prześcieradło. — Mnie ciężej było czekać niż tobie.

— Wuj się myli — sucho zaprzeczył Paweł. — Mnie też nie było łatwo.

Wieko spadło z hukiem. — I czego się doczekaliśmy? Idą do nas tutaj ci „zbawcy świata" ze swoim strasznym człowiekiem kolektywnym i społeczeństwem mrówek, i termitów, prawdziwym „widmem komunizmu"! Bo to właśnie jest najstraszniejsze, to „życie w gromadzie", „zbiorowość", „kolektyw", to, co zabija indywidualność — deklamował — co zabija duszę w człowieku! Boże, co za okropność. Gdy o tym pomyślę, rozpacz mnie ogarnia. Ten błazen Churchill zamiast rzucić desant na Polskę dał się wyprzedzić sowietom. Tu będzie ruina. Ja ci to mówię. Znam Polaków i znam się trochę na ekonomii. Zaraz podwyższą robotnikom zarobki, zaczną zaprowadzać ubezpieczenia socjalne, jakich nie zna Europa, ba, jakich nie zna świat! Ruina, ja ci to mówię. Znam się trochę na ekonomii — zapewniał wuj Roman zacietrzewiony; dysząc wsadził palec między szyję a kołnierzyk rozciągając go i kręcąc głową, jak by się dusił. — Żelazne prawo Riccardo powiada, że płaca robotników powinna stanowić minimum kosztów jego utrzymania. Jeżeli płace się podnoszą, wzrasta podaż i całe gromady ludzi ruszają do fabryki: wtedy obniżają się płace, przychodzi krach, a za krachem — głód.

— Ile, zdaniem wuja, potrzebuje robotnik, żeby wyżyć?

— Dokładnie tyle, żeby nie umrzeć — brzmiała cyniczna odpowiedź.

— Wynikałoby stąd, że płacąc głodowe wynagrodzenie wyświadcza się robotnikom dobrodziejstwo?

— W pewnym stopniu tak, mój chłopcze. W pewnym stopniu atk — powtórzył dobitnie wuj Roman.

— Niech wuj nie krzyczy!

Złowrogi wyraz nienawiści zaostrzył rzymskie rysy, orli nos, zmysłowe usta. — Ja nie krzyczę, Pawełku — tonem zjadliwej słodyczy odpowiedział wuj Roman.

— Chyba ci się zdawało, bo ja nie krzyczę.

— Po co wuj przyjechał, jeżeli wolno zapytać?

— Przyjechałem, żeby ratować tutejszy narodowy warsztat pracy.

— Narodowy warsztat pracy? Niech wuj to lepiej zostawi robotnikom. Oni już tam z karabinami w garści pilnują „tutejszego narodowego warsztatu pracy".

Zmysłowe usta otworzyły się bezgłośnie, na podobieństwo okrągłego pyszczka karpia łapiącego powietrze.

— Tak, już oni to lepiej zrobią niż my — zapewnił uszczypliwie Paweł.

— Tam są robotnicy? Ktoś jest w fabryce?

— Owszem, są! Dlaczego to cię interesuje?

Wuj Roman odwrócił się i zaczął rozpakowywać teczkę. — Nic takiego. Ja tylko pytam. Kto tam jest?

— Gawlik, Białecki...

— Ten z NPR?

— Nie wiem. Ma przyjść jeszcze stary Nowak.

— Nowak? Chłopcze, ci Nowakowie to ciekawi ludzie...

Paweł odniósł wrażenie, że wuj Roman świadomie zmienia temat rozmowy, żeby odwrócić uwagę od sprawy obecności robotników w fabryce, sprawy, którą się zbyt wyraźnie zainteresował.

— Ojciec starego Nowaka był forszpanem u dziedzica w jakimś majątku ziemskim pod Błaszkami. Forszpan to stangret od cugowych koni. Razu pewnego — opowiadał wuj Roman — dziedzic kazał odwieźć guwernantkę do Kalisza. Forszpan wykonał polecenie, ale w powrotnej drodze trochę za często zatrzymywał się po karczmach. Rezultat był taki, że konie wróciły do majątku bez forszpana ciągnąc szczątki czegoś, co dawniej było karetą, ale teraz nie miało tylnej połowy i tylnych kół. Forszpan zaś wrócił na drugi dzień na piechotę. Dziedzic w obecności służby folwarcznej zbeształ forszpana, który się uniósł „honorem", i mimo, że właściciel majątku zatrzymywał go usilnie, podziękował za służbę. Na pożegnanie otrzymał od dziedzica parę koni i furmankę, na której zawiózł rodzinę do Łodzi, gdzie — jak fama głosiła — płoty były kiełbasami plecione. W Łodzi woził Scheiblerowi cegłę na budowę fabryki, a ośmioletniego Józka oddał do tkalni. Józek ścierał kurz z maszyn, zamiatał podłogę, przyuczał się stopniowo do obowiązków smarownika. Tak zaczęła się kariera życiowa przyszłego rewolucjonisty Józefa Nowaka. Takimi drogami wędrowali różni Nowakowie ze wsi do Łodzi.

— Wuj Roman zaczął się rozbierać. — Więc powiadasz, że tam jest Nowak?

---

[1]) W bezpośrednio następujących latach liczba Niemców przewyższała tak znacznie liczbę Polaków, że ówczesna Łódź można było nazwać niemieckim miastem.

[2]) Można by sądzić, że znajdujemy się w niemieckim centrum przemysłowym, tak bardzo niemieckie jest tu wszystko, kiu by, związki.

Władysław Rymkiewicz...

ucieczka z ziemi obiecanej

TADEUSZ PAPIER

Cud, nie cud

w Teatrze Ziemi Łódzkiej

Nie ma w naszej rzeczywistości króla, nikt nie wierzy w czarowników, którzy zmieniają zwierzęta w ludzi, sztuka nie wiąże się z określonym miejscem i czasem, a jednak jest współczesna, żywa, aktualna. Przypuszczać należy, że przy nieznacznych korektach reżyserskich, niezbędnych w określonych sytuacjach, długo jeszcze będzie cieszyć się powodzeniem, nie zestarzeje się. Kiedy mówimy o aktualności, mamy na myśli relację z rzeczywistością, z bieżącymi wydarzeniami dnia, bezpośrednie lub zakamuflowane. Ale mówimy o aktualności utworu również wtedy, kiedy — jak powiada Dąbrowska — zwietrzeją w nim przemijające aktualia, mowa wtedy o innych „pierwiastkach" utworu, zdolnych wzruszać i przemawiać.

Fantastyka „Cudu nie cudu" jest baśniowa, ale nie z kategorii snu, postacie nie są wyśnione, autor posługuje się symbolami, jako środkami ekspresji, ale właśnie dlatego przywracają one baśni poczucie rzeczywistości, nadają jej konkretny wyraz, ilustruje to najlepiej scena, kiedy niemal jesteśmy skłonni uwierzyć, że pocałunek księżniczki istotnie zmieni młodzieńca w niedźwiedzia. Fantastyka ściera się na scenie z rzeczywistością, metafory, które wnosi ze sobą czarownik, umieszczone są w świecie baśniowo fantastycznym, każą jednak traktować przeżycia bohaterów, życie sceniczne za prawdziwe. Właśnie dlatego „Cud nie cud" Eugeniusza Szwarca jest sztuką trudną do pokazania, na scenie ścierać się muszą rozmaite konwencje, która z nich zwycięży, nada właściwą interpretację sztuce? Teatr Ziemi Łódzkiej, sądzę, rozwiązał dobrze przedstawienie, zarówno od strony scenografii jak i reżyserii całości. Pierwsze wystąpienie Gospodarza — czarownika (January Krawczyk) nadaje spektaklowi ów ciepły ton, który równocześnie każe wierzyć i nie wierzyć w przygodę Niedźwiedzia z Księżniczką. January Krawczyk wywiązał się ze swej roli dobrze, szkoda tylko, że w chwilach, kiedy występował jako czarodziej-prorok, zwłaszcza w końcowej scenie, ujmował swoje kwestie za poważnie, co odbiegało od poprzedniej tonacji. Barbara Olszańska był prawdziwą „nieprawdziwą" księżniczką, córką groteskowego (i bardzo dobrego — Jerzy Staszewski) króla, ani na włos nie przerysowaną, bardzo wdzięczną i udaną. Dobrze zagrał Niedźwiedzia Andrzej Juszczyk. W pozostałych rolach — słabych punktów nie zanotowano. Wydaje się, że Teatr Ziemi Łódzkiej dobrze zrobił wystawiając tę „ahistoryczną", miłą sztukę, która rzekomo w nic nie godzi, ponieważ nie ma u nas ani króla, ani czarowników. Zaznaczyć trzeba, że „Cud nie cud" jest polską prapremierą tej sztuki.

Teatr Ziemi Łódzkiej: Eugeniusz Szwarc „Cud nie cud". Fantazja sceniczna w trzech aktach. Przekład — Irena Bołtuć Staszewska i Bożena Radziszewska. Reżyseria — Czesław Staszewski, scenografia — Antoni Bystroń.

„WOSTOK"

(Dokończenie ze str. 2)

— to nowy element z którym należy się liczyć. Musi wywrzeć olbrzymi wpływ na narody w innych krajach, a w szczególności wpłynie na opinię słabo rozwiniętych krajów Azji i Afryki o możliwościach radzieckich w wielu dziedzinach..."

Inny korespondent tejże Agencji — Price pisze na ten sam temat: „Sukces jaki odniósł ZSRR umieszczając człowieka na orbicie Ziemi daje Rosji znaczną przewagę w wyścigu nad przestrzenią kosmiczną... Nie ma już większych wątpliwości, że ZSRR wyprodukował znacznie potężniejsze rakiety aniżeli USA, i że w związku z tym rozporządza znacznie większymi możliwościami w dziedzinie badania przestrzeni kosmicznej".

Waszyngtoński sprawozdawca Agencji France Presse dodaje: „W czasie, gdy amerykańscy mężowie stanu rozważają nie bez goryczy kolosalny wpływ jaki epokowe wydarzenie z 12 kwietnia 1961 r. wywrze między innymi na narody, które nie wypowiedziały się po niczyjej stronie uczeni amerykańscy stwierdzają, że daleko im jeszcze do potężnych możliwości i olbrzymiego doświadczenia ZSRR".

A oto charakterystyczny głos konserwatywnego „Daily Express": Jeszcze przed 20 laty wyśmiewano Rosjan jako naród technicznie zacofany. Dziś Związek Radziecki wyprzedza cały świat w niezwykle doniosłej dziedzinie nauki. Sukces swój osiągnął ZSRR bezwzględną koncentracją woli i wysiłku, ZSRR przystąpił do realizacji programu pedagogicznego we wszystkich dziedzinach dając mu pierwszeństwo przed wszystkimi innymi. ZSRR postawił sobie za cel pozyskiwanie utalentowanych mężczyzn i kobiet dla nauki. Powodzenie tej akcji odbija się echem w całym świecie. Stanowi to wyzwanie dla wszystkich narodów świata..."

„Dailly Express" pisząc o wyzwaniu do narodów świata ma na myśli dalsze współzawodnictwo i to nie tylko w dziedzinie pokojowej. Natomiast z perspektywy kosmicznego statku można sobie uświadomić — i to tak wyraziście jak nigdy przedtem — bezsens wyścigu zbrojeń i bezsens wojennych przygotowań.

Właśnie w tych dniach kiedy świat cały emocjonował się pierwszym kosmicznym lotem człowieka kanclerz Adenauer robił co mógł by wyprosić czy wymusić od prezydenta Kennedy'ego zgodę na przekształcenie Paktu Atlantyckiego w „czwarte atomowe mocarstwo".

Zarówno istota powstania Paktu Atlantyckiego, jak i znaczenie przekształcenia go w atomowe mocarstwo tkwi korzeniami w planach zrodzonych w historii niedawnej, ale już starożytnej. To wszystko naprawdę nie ma sensu.

JACEK LEBEN

JANUSZ SAWOSZKIEWICZ

DUCHY i ZŁE OCZY

Chuda Frania stoi przy drzwiach. Jej kościste ręce są w ustawicznym ruchu. Opowiadając, pomaga nimi sobie.

— Ale Wojtasiowa nic nie powiedziała, aby siadła se na krześle. Tak się wystraszyła, że aże..,

— A pies nie szczekał? — pyta uśmiechając się Starsza Pani.

— A nie, nie szczekał — powiada Frania.

Starsza Pani nie wierzy w całą tę historię o duchu i podczas opowiadania Chudej Frani mruga do mnie znacząco.

— Hm, nie szczekał? — pytam, udając zdziwienie.

— Nie — mówi Frania i dodaje:

— No niech pan powie, takie nierozumne stworzenie, pies, a swego pana jak to poznał.

— Niby tego ducha, tak?

Frania potakuje, po czym mówi dalej:

— Wszedł cicho do izby, kiedy Wojtasiowa zbierała się iść już spać.

Znam dalszy ciąg opowieści. Wojtaś przyszedł w pół roku po swojej śmierci. Nie odezwał się ani słowem. Nawet nie pozdrowił. Po prostu otworzyły się bezszelestnie drzwi (które normalnie skrzypią), wszedł do izby, usiadł za stołem, popatrzył uporczywym, martwym spojrzeniem na małżonkę, po czym zastygł w nieruchomej pozie, oparłszy bladą twarz na dłoniach splecionych pod brodą. „Wacuś!" — krzyknęła kobieta. Nieboszczyk nie odezwał się. Uniósł na nią wzrok. Potem wstał ciężko i wyszedł. To wszystko.

— Czego on właściwie chciał? — pytam Chudą Franię.

Wojtasiowa jest jej bliską krewniaczką. Tu wszyscy są spokrewnieni bliżej, albo dalej.

— Czego chciał? — pyta Frania niepewnie.

— Kto go tam wie — mówi po chwili. — Bo to można wiedzieć czego duch chce i po co przyszedł? Może modlitwy?

Frania oczywiście tylko udaje, że nie wie, czego chciał duch. Wie dobrze. Tak jak i ja wiem. Z początku przedstawiano mi te odwiedziny jako bezinteresowną wizytę starego Wojtasia w swojej chałupie. Nie byłoby w tym zresztą nic dziwnego. Ot, zatęskniło się nieboszczykowi za domem, za żoną, jakiś widać urlop mu w zaświatach przypadł, może za dobre sprawowanie, no, to i przyszedł w odwiedziny. Ale później dowiedziałem się, że powód przybycia ducha był jednak bardziej usprawiedliwiony.

Toteż zadaję Chudej Frani pytanie:

— A potem już nie przychodził?

— Niby ten duch? — pyta.

— Tak. Ten duch — powtarzam i patrzę uważnie na Franię.

— A przyszedł, przyszedł — odpowiada mi, ale jakoś niepewnie. — Do Gabrysiaka — dodaje niechętnie.

— Tak? A co mówił? — pytam jakbym nie wiedział.

Przekonywuję się, że ilekroć opowiadają mi tu ludzie o nadprzyrodzonym zjawisku, tylekroć mówią jak o sprawie zwykłej, normalnej, całkowicie zgodnej z prawami natury.

— Nic nie mówił — odpowiada Frania z wahaniem. Jej chude ręce krzyżują się na zapadniętej piersi.

— Ejże! A o pieniądzach nic nie mówił?

— Nie! — woła cienkim głosem Frania. — Nie! Powiedział aby do Gabrysiaka: „Pobudowałeś się widzę. Ładny masz dom. Ho, ho!.."

Znam Gabrysiaka. To zięć Wojtasiowej. Z zawodu piekarz. Pracę ma w powiatowym miasteczku. Jeździ tam codziennie. Za żoną wziął morgi. Obrotny w interesach, postawił sobie murowaniak. Nie taki zwykły, wiejski murowaniak, ale z weneckimi oknami. Z werandą na froncie, na którą wchodzi się po szerokich, betonowych schodach. Gabrysiak i cała rodzina dumni są z tego domu. Odkąd mają ten pałac, jak go nazywają co złośliwsi, córka Gabrysiaka, piętnastolenia dziewczyna o czarnych jak smoła włosach i ognistym spojrzeniu, nie tańczy już z byle kim na zabawach i weselach.

— Hm. A czy czasem nie mówił o tych pieniądzach co to...

— O! To pan wie — woła, przerywając mi Frania. — No, tak — przyznaje po chwili. — To niby o te pieniądze mu chodziło, ale nic o nich nie mówił. Powiedział tylko: „Ładny masz dom"

— Właśnie! Za jego, ducha, pieniądze — dodaję ironicznie.

— Ciotka zapłaciła — krzyczy Frania. — Zapłaciła. Prawda, umierając wuj prosił o nabożeństwa za jego

duszę, ale ciotka Wojtasiowa pożyczyła te pieniądze przeznaczone na modły, Gabrysiakowi. Przecież musiał wykończyć dom. No, nie... Jakże to? Miałby murowaniaka nie skończyć? Ale teraz kiedy ciotka sprzedała dwie morgi i część tych pieniędzy zapłaciła księżom...

Frania nagle przerywa i milcząc wpatruje się w okno. Widzę zaniepokojenie na jej wychudłej twarzy. Oczy palą się niespokojnym blaskiem. Kieruję wzrok w ślad za jej spojrzeniem. Nie dostrzegam jednak nic szczególnego. Przez okno widać drogę. Środkiem drogi idzie wolno kobiecina. Za drogą widać codzienny krajobraz, jednakowy, nie zmieniający się chyba od stuleci. Domy kryte strzechami, drzewa — wierzby i topole, stodoły, tu i ówdzie kawałek sadu, malwy przy płotach, w ogródkach słoneczniki które w wierszach poetów obracają twarze za słońcem. (Do licha! — chciałbym to kiedyś zobaczyć). Dalej, za domami ciągną się pola falujących zbóż. W rzeczułce pływają kaczki, na trawie przy drodze pasą się owce, pogęgują gęsi trzepocząc białymi skrzydłami. Nad tym wszystkim, na bliskim, średnim i dalszym planie — chmury, kłębiaste cumulusy. Patrzę teraz na Franię. Jej usta poruszają się bezgłośnie. Wargi wymawiają modlitwę, może zaklęcie.

— Pani Franiu — odzywam się — Co takiego?

— A bo.. ta przeszła... — mówi głucho Frania.

Spogląda niespokojnie na drogę. Sylwetka kobiety zmalała.

— Żeby mi tylko kaczki... W zeszłym roku całe stadko...

Nic nie rozumiem. Jakie stadko? Jakie kaczki?

Starsza Pani kiwa głową ze zrozumieniem. Już teraz nie mruży do mnie porozumiewawczo oka. Przeciwnie. Ona, równie jak Frania, jest najwyraźniej zaniepokojna.

— Złe oczy — szepcze Frania. — Złe oczy!

W jej tonie jest bezradność i nienawiść.

— Złe oczy? Bzdury! — mówię głośno.

Starsza Pani patrzy na mnie uważnie i w jej oczach dostrzegam naganę. Co jest do licha! myślę, czyżby i ona? Inteligentka? Czyżby te trzydzieści lat, które przesiedziała tutaj, zrobiły jednak swoje?

— To nie żarty, proszę pana — powiada teraz Starsza Pani.

Jej długi palec unosi się w górę, jakby karciła nieposłuszne dzieci. — Niech pan nie żartuje. Ja panu zaraz coś opowiem.

Rozwlekle mówi o tym, że kiedyś zasadziła kwiaty. Jakie kwiaty? Ach! To nie ważne. Nie pamięta już, bo to było dawno. Kwiaty pięknie rosły, ładnie kwitły, aż tu pewnego dnia ta.. Karolina. Przyszła pod byle pretekstem. Popatrzyła na kwiaty, pogadała to, owo i poszła. Ledwo się oddaliła z ogródka, a tu masz!... Wszystkie rośliny powiędły, pousychały. Oczywiście! To Karolina. Ma złe oczy. Karolina miała do niej, do Starszej Pani, która wtedy nie była jeszcze Starszą Panią, złość. To naturalnie dawna historia. Karolina była jeszcze wtedy młoda i...

— Hm — mruczę potakująco. Domyślam się także dlaczego Starsza Pani urywa zdanie na tym „i". Znam trochę historię Karoliny. Była to niegdyś prawdziwa piękność wiejska. A historia jej miłości.. To bardzo romantyczne. Zakochał się w niej młynarz. Na zabój. Ale młynarz miał żonę i dzieci. Więc? Dużo z tego wszystkiego było szumu po całej wsi, dużo gadania, pomstowania na zgorszenie i niemoralne czasy. Rodzina wyparła się Karoliny. Nie miała się biedaszka gdzie podziać. Ale młynarz nie opuścił swojej dziewczyny. Zbudował jej maleńki domek nad rzeczką, na płachetku ziemi. Domek stoi do dziś. Do dziś w nim mieszka Karolina, choć teraz już jest stara, a młynarz dawno już nie żyje.

— Może te kwiaty były nie podlewane — pytam ostrożnie Starszą Panią.

— Ależ skąd — zaprzecza gwałtownie. — Podlewane. I suszy nie było. Już niektórzy ludzie mają taki wzrok. Albo rękę. Na przykład od Ptysiowej, wiadomo, nikt kaczych jaj na nasadzenie nie weźmie. Bo z góry można przewidzieć, że kaczki albo nie wylęgną się, albo się potem nie uchowają.

Uśmiecham się z powątpiewaniem.

— A wam się chowają? — pyta z rozdrażnieniem Starsza Pani. — No, widzi pan.

Tak. Istotnie. Muszę przyznać, że nie udało nam się wyhodować stadka kaczek. Zostały tylko cztery. Z dwunastu. To naprawdę jest jakaś tajemnicza historia. Żona i ja jesteśmy, tu na wsi, od wiosny. Mamy zamiar być do jesieni. Co szkodzi więc pohodować trochę kur i kacząt. Kury chowają się doskonale. Ale kaczki?... Właśnie kaczki, które pływają po rzeczce i najczęściej kręcą się opodal malutkiego domku Karoliny. Kaczęta były z początku zdrowe, śliczne, szybko rosły. Po paru tygodniach przyjemnie było na nie popatrzeć. Aż tu naraz pewnego dnia zdychają trzy. Bez żadnych uprzednich objawów choroby. Zastanawialiśmy się, co to może być. Wertowaliśmy podręczniki traktujące o hodowli kaczek Nie znaleźliśmy nic, co by tłumaczyło ich tajemnicze zdychanie. Zrobiliśmy sekcję dwóch martwych sztuk. Może struł je ktoś, myśleliśmy, może zjadły coś co im zaszkodziło. Nic nie znaleźliśmy. Ja sam potem zbadałem metr po metrze łączkę na której pasły się kaczuszki. Obserwowałem wodę. Nic podejrzanego. W tej samej rzeczułce pływały inne kaczki. Żadna z nich nie padła. Parę dni minęło spokojnie. A któregoś dnia — znowu. Trzy kaczuszki zdechły jedna po drugiej. I znów przez dwa tygodnie reszta chowała się zdrowa. Aż do dnia, w którym znowu zginęły niewytłumaczoną śmiercią dwie kaczki.

Chuda Frania triumfuje. Starsza Pani uśmiecha się.

— Widzi pan — mówi Frania. — Widzi pan. To co my mówimy to pan uważa za bzdury. A czy wasze kaczki nie kreciły się koło domu tej... Kury jednak wam się chowają, bo tam nie chodzą.

— Tak. Ale dlaczego Karolina miałaby do nas złość? Przecież w niczym jej nie szkodzimy... — zastanawiam się na głos i nagle sam się łapię na tym, że milcząco przyjąłem założenie, iż to sprawiły złe oczy Karoliny.

— A słyszał pan o Hance? — wyrywa mnie z chwilowego zamyślenia cienki głos Chudej Frani.

— O jakiej Hance?

— Już nie żyje. Do niej także przychodził duch.

Chuda Frania opowiada mi, że Hanka umarła dwa lata temu. Jako młodziutka dziewczyna. Na kilka tygodni przed śmiercią ukazała się jej nieboszczka babka. Hanka zaczęła krzyczeć ze strachu. Przybiegł ojciec dziewczyny. Chwycił w rękę cep. „Gdzie jest ten duch? — zapytał. Tam w rogu izby" — krzyknęła dziewczyna. Ojciec Hanki zamachnął się cepem i wyrżnął w powietrze w rogu izby. „O! Jezu! — wrzasnęła córka. — „Jezusie! Maryjo! Uderzyliście tato babkę. Słońce! Widzę słońce na jej rękach — zawołała rozpaczliwie dziewczyna i padła zemdlona. Ojcu cep wypadł z ręki.

— Widzi pan? — pyta Frania. — Hanka zobaczyła słońce, kiedy tamten uderzył cepem. A więc to prawda, że się Hance ukazała babka.

— I co było dalej z tą biedną dziewczyną. Czy zawieźli ją do lekarza? — spytałem.

— Do lekarza? Hankę — pyta zdziwiona Frania. — Po co? Przecież była zupełnie zdrowa.

— Jak to zdrowa? Przecież umarła.

A to co innego — odpowiada Frania. — To ta babka, jak się okazało po nią przyszła, żeby ją zabrać na tamten świat.

Robi mi się duszno w tej izbie obitej tandetną tapetą. Okna są zamknięte w obawie przed inwazją much.

Wychodzę na drogę. O dwa kilometry stąd dudni pociąg. Ze świstem zbliża się do przystanku. Jeśli wsiąść do pociągu, można być za półtorej godziny w Łodzi lub za tyleż czasu w Warszawie. Codziennie część mieszkańców wsi wyjeżdża. Niektórzy po upływie kilku minut wysiadają w powiatowym miasteczku, inni jadą dalej do fabryk w miastach i miasteczkach, są tacy co jadą do pracy, aż do Warszawy. Wieczorem wracają pod strzechy przywożąc wspomnienie miasta, kina, teatru, fabryki, ulicy zatłoczonej pojazdami. Dwa światy nakładają się na siebie.

OPOWIEŚCI von Hagena (6)

Kiedy Kortez z gromadą swych rozbójników gotował krwawą łaźnię Tenochtitlanowi, imperium azteckie bliskie było właśnie szczytów swego rozwoju. Ojciec Tenochów, dobry bóg Huitzilopochtli panował nad całym prawie Meksykiem, który dzieciom „Cudownego Kolibra" płacił daniny, zbierane skrzętnie przez wysłanników Uei Tlatoani, władcy Tenochów; w punktach zaś o znaczeniu strategicznym czuwały garnizony azteckich wojowników. Meksykański Rzym osiągnął pierwsze granice nasycenia i można było teraz oczekiwać etapu, który nad Morzem Śródziemnym zrealizował się poprzez Pax Romana — „Pokój rzymski" — wtedy, gdy mówiąc po prostu, nie bardzo było już co podbijać w okolicach Morza Śródziemnego.

I w tym momencie przyszło uderzenie Korteza, zbiegające się z feralną datą 1519 roku... Ale ten fatalny zbieg okoliczności, który odebrał ducha tak wojowniczym zawsze Aztekom, jedynie przyspieszył śmierć „imperium". W zetknięciu bowiem z europejską cywilizacją wojskową i tak musiało ono upaść. Musiałoby upaść nawet wówczas, gdyby zdobywcami byli nie Hiszpanie XVI wieku, a Rzymianie Cezara. Aztekowie nie znali obróbki żelaza, a Rzymianie zakuci w stal i zbrojni w żelazne miecze umieli się posługiwać swym orężem ze sprawnością dostateczną dla pokonania lekko zbrojnych Meksykanów. Aztekowie nie znali koni, a Cezar, gdyby miał do dyspozycji znakomitą konnicę Pompejusza, potrafiłby ją odpowiednio wykorzystać. Wiemy zresztą o bojowym wyszkoleniu rzymskich legionistów i strategii wodzów Romy. Aztekowie zaś znajdowali się na poziomie rozwoju Greków z okresu wojny trojańskiej, przynajmniej w dziedzinie wojskowości...

Byli zacofani, choć nie na tyle, by nie poradzić sobie ze swymi pobratymcami. Apetyty imperialne pojawiły się u nich koło 1400 roku, a za panowania Montezumy II, którego zastał u władzy Kortez, liczba hołdowniczych państw — miast wynosiła — 371!

Jak do tego doszli? Natchnieniem był dla nich zawsze głos bogów, a że głos bogów z reguły doskonale pasował do aktualnych potrzeb Azteków, to już inna sprawa.

Wszystko odbywało się zgodnie z obyczajem. Najpierw Uei Tlatoani przysyła ambasadorów, proponując przyłączenie danego państewka do „wspólnoty azteckiej", oferując wymianę handlową i ochronę dróg. Razem z ugodą przychodziło żądanie umieszczenia „Cudownego Kolibra" obok miejscowych świętości. Nie — zamiast: Obok. Aztekowie zresztą byli na tyle uprzejmi, że nie wymagali od „przyłączanych" zmiany obyczajów czy nawet usunięcia dotychczasowych wodzów. Bogowie, obyczaje, wodzowie mogli sobie pozostać, tam gdzie byli. Dla Azteków istotne były — daniny. I żeby punktualnie — co 6 miesięcy. Wtedy, kiedy zjawi się calpixque, poborca danin.

Na zastanowienie dawali Aztekowie przyszłym członkom swej „wspólnoty" jeden miesiąc czasu i to wedle kalendarza księżycowego, nie zaś magicznego; był to następny wyraz ich konkwistadorskiej uprzejmości, bo miesiąc księżycowy był dłuższy. Po jego upływie, po długich i żmudnych negocjacjach dochodziło albo do kapitulacji, albo do wojny. Jeśli „rada czterech" postanowiła wojnę, dowódcy zbierali się na wielkim placu przy kamieniu „króla" Tizoca, który panował przed Ahuitzotlem, stryjem i poprzednikiem Montezumy II-go. Poczem rozpoczynała się wojna, prowadzona na krwawo i z odpowiednią dozą okrucieństwa, wszelako nie większą prawdopodobnie niż to, z jakim nasi polscy „cywilizowani" możnowładcy „załatwiali" powstania ukraińskich chłopów. Bitwy zaczynały się od gry nerwów; przeciwnicy próbowali przede wszystkim napędzić sobie wzajem strachu; wojownicy defilowali przed sobą, usiłując wywołać z pomocą bębnów i rogów możliwie największy hałas, który by zdeprymował adwersarzy. W walce „wręcz" obowiązywała również zasada jak największego wrzasku i pod tym względem strategia aztecka nie różniła się specjalnie od dzisiejszej. Dalszy ciąg był jednak nieco inny — Aztekowie dążyli do możliwie szybkiego przywrócenia pokoju, bo chociaż wojna pozwalała spełnić zachcianki krwiożerczego boga Huitzilopochtli i ofiarować mu następną porcję żywych ludzkich serc, wyrwanych z piersi jeńców, to przecie istotny cel wojny był trochę inny — ustanowienie nowego trybutu. Na znak i pamiątkę zwycięstwa Aztekowie palili miejscową świątynię, opis tego dzieła umieszczając w swych kronikach. Jeńcy szli na stół ofiarny, ściślej — na kamień, a jeśli podbite plemię uważano za „niepewne", osadzano na miejscu garnizon wojskowy, zabierając tubylczych wodzów jako zakładników do Tenochtitlanu. Zdarzały się naturalnie rewolty i bunty, ale azteckie oddziały bezpieczeństwa wewnętrznego nie miały nigdy większych trudności z ich uśmierzeniem.

I tak liczba państewek lennych doszła w końcu trzystu siedemdziesięciu jeden... Wbrew mniemaniu nie było to nigdy imperium; wspominaliśmy o tym na początku opowieści. Tenochowie nie mieli nigdy żadnej koncepcji, wchłonięcia podbitych szczepów. Nie potrafili przetworzyć swej dominacji w instytucję dominium; pod tym względem nie dorównywali ani Rzymowi ani Anglii, które wprawdzie nigdy nie połknęły do końca swych zdobyczy, ale przynajmniej miały zbożny po temu zamiar... To zaś decyduje, czy — wedle kryteriów teorii polityki — można jakieś państwo nazywać imperium czy nie. Choć w praktyce oczywiście nie ma to większego znaczenia...

Niejednokrotnie tak się dziwnie w dziejach azteckich podbojów układało, że przed zjawieniem się posłów — teren penetrowali dość długo kupcy z Tenochtitlanu i wyrażali się, hm, co najmniej pochlebnie o miejscowych bogactwach. Dobrze poinformowanym już to samo powinno było wystarczyć; bo kupcy z Tenochtitlanu pilnie oglądali nie tylko oferowane im towary, ale penetrowali skrupulatnie możliwości obronne owego miasta, poczem z informacjami wracali do metropolii. Niedługo później witano już innego przedstawiciela Tenochów — quauhquauh nochtzina, ambasadora.

Kupcy byli stosunkowo najmłodszym produktem azteckiego społeczeństwa, nie tak wprawdzie młodym, jak by to wynikało z kronik, mówiących, że handel w Tenochtitlanie pojawił się po raz pierwszy w 1504 roku, ale w każdym razie — późnym. Kupcy stali się potrzebni z chwilą, gdy „zwykły Indianin", „macchua", plebejusz aztecki, każdy prawie rzemieślnik i każdy chałupnik, począł dążyć do wymiany swych produktów na towary, płynące z podbitych prowincji. Kupcy stali się niezbędni; doszło nawet do swoistego fenomenu w tym pozbawionym pieniądza społeczeństwie — kupcy, „pochteca" ukonstytuowali się w odrębną klasę! Gildia „podróżników handlowych" miała własne prawa i własne trybunały. Jej członkowie nie podlegali sądownictwu, jakbyśmy dziś powiedzieli, powszechnemu. Nie płacili nawet podatków! Wyruszając w podróż, odwoływali się do łaski Zacazentli, opiekuna dróg i podróżników, na codzienny zaś użytek mieli także odrębnych własnych bogów. Prawa zawodowo-klanowe przechodziły z ojca na syna, a chroniło je i gwarantowało państwo. Handel był świętością, a jeśli kto umarł podczas kupieckiego wojażu, traktowano jego zgon równie uroczyście, jak śmierć żołnierza „poległego na polu chwały".

Wolność panowała w Meksyku zupełna — rzecz jasna wolność dla kupców. Drogi były otwarte; gdzie kraj był „niepewny" czy świeżo podbity, stacjonowały załogi wojskowe, w razie niebezpieczeństwa karawanie tragarzy — dźwigających po 60 funtów każdy, towarzyszyła eskorta zbrojnych. Dostojny „pochteca" maszerował na czele. Wyprawy czasami trwały i po dwa lata; ekspedycja wędrowała po świecie, docierając tam, gdzie nie postała noga azteckiego wojownika. Kupcy sprowadzali szmaragdy z Kolumbii, jedynego miejsca, gdzie w całej przedhiszpańskiej Ameryce można je było znaleść; złoto z Panamy; bawełnę, czekoladę, kauczuk, skóry jaguarów i pióra orle na równi z żywymi ptakami dla awiarium „królewskiego" w Tenochtitlanie.

W niektórych miejscach pozostawiali swoje ekspozytury, małe wysepki ludzi, mówiących językiem Nahuatl, zwane „pipil", które później swą ceramiką, tkaninami i symbolami Tlaloca, azteckiego boga deszczu, świadczyły o „nahuatlowskim" pochodzeniu...

Oni też, kupcy, przynieśli do Tenochtitlanu wieść o pojawieniu się u wschodnich wybrzeży Jukatanu w roku 1502 okrętów z białymi ludźmi: to Krzysztof Kolumb, admirał Jego Wysokości Chrześcijańskiej Króla Hiszpanii, nawiązał pierwsze kontakty ze stałym lądem Ameryki. Odbywał właśnie swą czwartą i ostatnią podróż. Nie długo, po tym na brzegach Jukatanu wylądowali Yanez Pinzon i Juan Diaz do Solis; rumor poszedł po jarmarkach i targach Centralnej Ameryki, aż dotarł przez dżungle i bezdroża do Tenochtitlanu, gdzie kronikarze Montezumy II zanotowali — „dziwni brodaci ludzie przybyli w wielkich łodziach z głębi oceanu..."

Mimo, że o handlu azteckim, o podróżach wiemy dosyć dużo, mało wiadomo o drogach ówczesnych i możliwościach komunikacji. Najzwyklej w świecie — brak badań, takich, jakie poświęcone drogownictwu Mayów czy wysokogórskim szlakom komunikacyjnym Inków na zachodnim wybrzeżu Peru (te ostatnie zresztą prowadził właśnie sam von Hagen).

Najlepiej oczywiście znaną drogą jest ta, którą oddziały Korteza maszerowały od Vera Cruz do Tenochtitlanu. Uczonym udało się ją dokładnie zidentyfikować. Inne drogi wiodły na północ i południe, a sieć ich była stosunkowo nieźle rozbudowana. Po drodze spotkać można było małe świątyńki, podobne do europejskich kapliczek przydrożnych, co ważniejsze zaś karczmy i zajazdy, dla odpoczynków zmęczonych tragarzy czy gońców, i to także wysoko w górach, gdzie wysiłek jest większy a chwila słabości bardziej niebezpieczna. Mostów cywilizacja aztecka nie wynalazła; z rzekami podróżnicy radzili sobie przepływając je łodziami canoe albo też — wpław. Ale nawet przy tym braku, ówczesnym Europejczykom system dróg meksykańskich wydawał się objawieniem. „Podróż w Europie — pisał Awaliyal Effendi jeszcze w roku 1611 (!) — to kawałek piekła".

Większość dróg Meksyku brukowano najprawdopodobniej „tzontli", specyficzną skamieliną, podobną do pumeksu, złożoną z krzemionki i popiołów wulkanicznych; był to materiał występujący w dużej obfitości i łatwy w obróbce. Niestety, z czysto fizycznych przyczyn niewiele tych dróg doczekało dnia dzisiejszego...

Obok pieszych karawan kupieckich, wojska i urzędników podatkowych funkcjonowała w starodawnym Meksyku jeszcze jedna kategoria użytkowników dróg — gońcy, niosący pisemne telegramy, oczywiście wykonane pismem obrazkowym. Słynęli oni ze swych sportowych kwalifikacji, zresztą tradycje te przetrwały do dziś.

DALSZY CIĄG ZA TYDZIEŃ

HENRYK ANDERS

"Witeź w tygrysiej skórze"

„Żyli w Arabii przed wiekami... król Rostewan..."

Tak, w noc tysięczną i drugą zabawiając zdziecinniałego okrutnika, mogłaby zacząć kolejną opowieść Szeherezada. I tak zaczyna się prześliczna bajka, którą w najbardziej poczciwej intencji zafundowała polskiej młodzieży „Nasza Księgarnia" *). Można się tylko obawiać, że współczesne dwunastolatki — bo dla nich chyba rzecz przeznaczona — różnią się nieco od onych szlachetnych pacholąt, które, łzy rzewne roniąc nad losami pięknej królewny i wzruszając się niesłychanymi przygodami dzielnych rycerzy, uległyby przemożnej potrzebie dumania o sprawach posępnych i wzniosłych.

Mowa o **Witeziu w tygrysiej skórze**. Nie dla młodzieży pisał dwunastowieczny bard gruziński, Szota Rustaweli, swój hymn o miłości zgoła nie platonicznej, ale mocniejszej niż śmierć, i o przyjaźni, którą cenić należy bardziej niż dworską karierę.

Średniowieczna Gruzja pod rządami królowej Tamary przeżywała okres największej politycznej świetności i złoty wiek kultury. Wtedy to właśnie powstało arcydzieło, które porównać można z poematami Tassa czy Miltona.

Rustaweli, nim poszedł na wygnanie, piastował podobno wysokie dworskie godności, był też beznadziejnie zakochany w pięknej monarchini. Tęskniąc na obczyźnie, napisał alegoryczną powieść rycerską, w której wysławiał patriotyzm, domagał się poskromienia sobiepańskich ambicji feudałów, wzywał do zjednoczenia kraju, podkreślał konieczność polityczną władzy absolutnej, silnej i scentralizowanej, ale jednocześnie praworządnej, sprawiedliwej dla wszystkich warstw ludności, przepojonej ideami humanistycznymi i poszanowaniem godności ludzkiej.

Ale przecież poemat nie jest kroniką ani traktatem filozoficznym. Jego bohaterowie nie są ludźmi z papieru, żyją i to z rozmachem. Gdy cierpią — rwą włosy na głowie i szarpią ciało do krwi, gdy się radują — wrzawa uderza o niebo gdy walczą — wyrzynają wrogów setkami. A przy tym

Igor Sikirycki

nie tracą indywidualnego oblicza, choć wszyscy promienieją niebiańską urodą i anielską szlachetnością.

Awtandił jest na przykład człowiekiem roztropnym i światowcem. Kiedy, na rozkaz ukochanej, wyrusza na daleką wędrówkę jako błędny rycerz, porządkuje staranie swoje interesy, zabezpiecza granice kraju, wysyła listy do podwładnych, zostawia pełnomocnictwa. Dwórkę, którą nastraszył nagłym wybuchem wściekłości umie uspokoić wytwornością obyczajów, gładkością mowy, błyskotliwą inteligencją. Z żoną kupca, gdy trzeba, i wcale chętnie, nawiązuje romans, stale zresztą mając w oczach obraz najdroższej Tinatin. Romans przynosi oczywiste korzyści, z miejsca wyjaśniają się wszystkie tajemnice. A co sobie żona kupca użyła, to użyła. „Kiedy wrona znajdzie różę, myśli że jest też słowikiem".

Tariel, książę indyjski, główny bohater, jest wspaniałym człowiekiem, ale jest równocześnie popędliwy, nie rozważny, robi głupstwo za głupstwem, wdaje się w niepotrzebne awantury. Gdy dowiaduje się o uprowadzeniu narzeczonej, szaleje, rzuca wszystko i pędzi w świat bez rozeznania. Ale i on, choć zakochany do szaleństwa, nie jest od tego, żeby uciąć mały romansik z panną pokojową, która jak mu się wydaje, zagięła na niego parol.

Tinatin, królowa, jest pewna siebie, śmiało mówi o miłości. Nestan, ukochana Tariela, pisuje płomienne listy, ale stanąwszy z amantem oko w oko okropnie się wstydzi. Kiedy jednak wpada w istotne tarapaty okazuje niezwykły, bohaterski hart ducha.

Piszę o tym wszystkim, by wykazać, czym jest dzieło Rustaweliego w oryginale, a czym nie jest, bo być nie może, w adaptacji dla młodzieży. Zamiast pełnego przekładu, wykonanego z całym pietyzmem dla arcydzieła, otrzymaliśmy wersję skróconą niemal do jednej trzeciej.

Przecież jednak tak być musiało. Kto by podjął się dziś przekładu starogruzińskiego tekstu o prawie siedmiu tysiącach wierszy?

Najstarszy, słaby zresztą, polski przekład w dużych fragmentach — **Skóra tygrysia** Łapczyńskiego — ukazał się w roku 1863. Po tym próbowało wielu, lecz szybko rezygnowali. Spasował nawet Tuwim.

Zadanie i tak niełatwe utrudniała jeszcze forma. Pisany szesnastozwrotkowcem zbliżonym do heksametru, czterowierszową strofą o wspólnym rymie, poemat w języku ojczystym zyskuje na zmienności akcentów, pozwalających na rozmaitość intonacji. W przekładach polskich z owej melodyjnej frazy wytworzyłaby się szybko nieznośna sztampa. Przy podniosłym stylu oryginału otrzymalibyśmy najbardziej autentyczną parodię.

Owej sztampy, spospolitowanej dziewiętnastowiecznej rymowanki tym bardziej unikać musiał autor adaptacji. Jakże łatwo można tu było wpaść w ckliwą konwencję.

Sikirycki z wprawą wirtuoza nie tylko niebezpieczeństwo przewidział, ale obrócił je w żart. Jak się zdaje, świetnie się bawił komponując pastisze w różnych manierach. Oto próbki:

„Lecz nadchodzi czas rozstania w ciężkim bólu i rozterce. kiedy w drogę jechać trzeba stąd, gdzie pragnie zostać serce".
„Objął wodza król serdecznie, ucałował go jak syna... wyszedł witeź powtarzając: „Tinatina, Tinatina."

Czy też w innym miejscu:

„A ja dalej wędrowałem, ulegając woli nieba,
bo nam, nędznym śmiertelnikom, z nią się zawsze zgodzić trzeba".

Sikirycki kpi z sentymentalizmu, wyraźnie i chyba niesłusznie. Poemat cechuje raczej patos i grandilokwencja niż sentymentalizm. I jedno i drugie razi współczesne ucho, ale taki był duch czasu, a w tej wschodniej skłonności do przesady jakaż się ukrywa siła wyrazu. Stopniowo, a coraz bardziej ulega jej zresztą sam tłumacz.

Rzecz charakterystyczna — tam gdzie autor skraca tekst, robi to z mniejszym powodzeniem, tam gdzie mozliwie blisko trzyma się oryginału trafia w ton właściwy i dźwięczny.

Sikirycki nie tłumaczył Rustawelego, adaptował wersję młodzieżową i to, co do niego należało, wykonał bez zarzutu. Powiedzmy, prawie bez zarzutu. Ale usterki są zaiste minimalne i nieistotne. Wiersz czyta się gładko, akcja toczy się wartko i bez dłużyzn, nastrój ogólny zostaje zachowany wiernie, wypuktowane są nawet niektóre sentencje. Co więcej, przekład zawiera treść poetycką, z tym, że stanowi ona własność raczej Sikirycklego niż dworzanina z Rustawi.

„Jak aloes, co w ogrodach nad Eufratem wszystkię drzewa wdziękiem smukłej swej postaci i przewyższa i przyćmiewa, tak jaśniała Tinatina, gdy wódz podszedł ku tronowi. Chyba mędrców chór ateńskich mógłby krasę jej wysłowić".

* * *

Książkę wydano bardzo starannie, w dobrej szacie graficznej, z wartościowymi reprodukcjami starych wschodnich miniatur. Szkoda tylko, że wydawnictwo nie zamieściło choćby małej notki informującej o stosunku adaptacji do oryginału. Wszak to jest pierwsza w Polsce próba pokazania całości dzieła.

***) Szota Rustaweli „Witeź w tygrysiej skórze". Nasza Księgarnia, Warszawa 1961 rok. Spolszczył Igor Sikirycki**

Ostatnie przedwyborcze dni

Ostatnie przedwyborcze dni były, rzecz jasna, również i w telewizji okresem nasilenia materiałów związanych z wielką, ogólnokrajową kampanią.

Począwszy od pozycji o najwyższym ciężarze gatunkowym, jak transmisja ze spotkania Władysława Gomułki i Stefana Ignara z poznańskimi rolnikami, poprzez publicystykę, wywiady, materiały filmowe („Przypominamy..." — nadawane z Łodzi i dla Łodzi oraz inne pozycje), migawki i tak dalej i tak dalej — telewizja aktywnie wkroczyła do bezpośredniego działania.

I sprawa charakterystyczna, rzecz pozornie tak niewizyjna jak przemówienie, czy odpowiedzi Władysława Gomułki na wcześniej zresztą zadane przez słuchaczy pytania — okazała się dla telewidzów czymś wysoce frapującym. Oczywiście, rolę podstawową odegrał sam ciężar gatunkowy wystąpienia męża stanu, ale i możliwość bezpośredniego oglądania mówcy, wychwytywanie nie tylko tonu głosu, ale gestu również — pomagała w odbiorze, w przyswajaniu przekazywanych treści. Widok mówcy skupiał uwagę, przybliżał słowa, które w transmisji radiowej zostały przecież te same, a jednak nie miały równej siły. Słuchając niejednokrotnie transmisji radiowej z ważkich przemówień, nazajutrz przy lekturze gazet przyłapywałem się na tym, że już nie tylko poszczególne sformułowania, a nawet całe partie uciekły mi jakoś z pamięci, nie zostały przyswojone — w wypadku transmisji telewizyjnej ze wspomnianego wiecu, podobnego wrażenia już nie miałem, bez trudu podstawiałem pod czytane ponownie słowa obraz, wyraz twarzy mówcy.

Zdaje się, że można wyciągnąć z tego wniosek szerszy, uogólniający. Słowo, jeżeli ma swoją wagę, nie jest tak bardzo nietelewizyjne, jak chcielibyśmy nieraz sądzić.

I tu pretensja pod adresem jednej z ostatnich przedwyborczych audycji z Łodzi — do ostatnich „Wszystkie dni tygodnia". Audycja, w której wzięło udział szereg kolegów dziennikarzy, mimo starannego opracowania graficznego i dość interesującego doboru materiałów filmowych, była — można chyba tak powiedzieć — mało ważka, uproszczona. Rozumiem doskonale, że realizatorzy dbając o tempo poszli na wypowiedzi migawkowe, skrótowe, kilkunastozdaniowe nieraz, ale te kilkanaście zdań sprowadzało się zazwyczaj do kilkunastu komunałów. To samo trzeba niestety powiedzieć o audycji „Przypominamy". Drewniany głos mówiącego, nie najlepiej dobrany film, nie najlepsze agitacje.

Audycja wyszła w rezultacie zimna, zdawkowa, nijaka. O wszystkim była mowa — o stronie politycznej wyborów, osiągnięciach budownictwa sportowego, drobnych kłopotach kobiet, planach młodzieżowych placówek kulturalnych, technice głosowania ale wszystko to — boję się — w kilka minut później zostało zatarte w pamięci widza, rozpłynęło się po prostu.

Na pewno można powiedzieć, że TV nie ma doświadczeń w prowadzeniu akcji o takim nasileniu i zasięgu, ale nie znaczy to że już teraz nie powinna wyciągnąć wniosków na lata przyszłe.

KR.

Pierwszy kosmonauta w telewizji

Moskwa po raz pierwszy na ekranach naszych telewizorów. Stało się to przy okazji transmisji z powitania pierwszego kosmonauty radzieckiego majora Jurija Gagarina. A więc wydarzenie podwójnie historyczne. Jaką drogą obraz z Moskwy z lotniska we Wnukowie, z trasy przejazdu dotarł do Polski to osobna i bardzo ciekawa historia. Otóż nie posiadając bezpośrednich łączy ultrakrótkofalowych z Moskwą cała sieć stacji krajów demokracji ludowej stanowiących jak wiadomo system INTERWIZJI korzystała z dźwięku i fonii użyczonej nam przez EUROWIZJĘ. A oto droga jaka zdarzenia moskiewskie dotarły do Polski. Program TV wędrował z Moskwy do Leningradu a stamtąd do Tallina. Następnie audycje transmitowano do Helsinek, skąd poprzez system stacji przekaźnikowych na wyspach bałtyckich dotarła do Sztokholmu. Tutaj po raz wtóry program przeskoczył Bałtyk aby dotrzeć do Danii, która posiada już łączność z siecią EUROWIZJI. NRD odbierała program już z tej sieci, a my i inne kraje z NRD. Tak więc drogą bardzo okrężną wędrował do nas reportaż o największym wydarzeniu w dziejach ludzkości.

Niewątpliwie można by się tu zastanowić dlaczego nasza telewizja nie wystąpiła dotąd z propozycją połączenia się bezpośrednio z Moskwą, ale na takie rozważania jest już za późno bo oto za kilka dni powinno być już uruchomione łącze TV z telewizją radziecką prowadzące przez Kaliningrad, Gdańsk, Olsztyn, Warszawa. Uroczystość defilady pierwszomajowej stacje systemu INTERWIZJI transmitować mają już za pośrednictwem Telewizji Polskiej.

Wróćmy jeszcze na chwilę do reportażu telewizyjnego z powitania majora Gagarina. Były to audycje które chyba w światowych statystykach widzów TV nie ma sobie równej gdy idzie o liczbę czynnych odbiorników — 25 milionów! Nie ma też równej pod względem tematu.

Jakkolwiek obraz oglądany przez nas tego dnia nie zawsze był najwyższej klasy co jest już winą owej dalekiej drogi, to jeszcze raz przekonaliśmy się, jak ogromne są możliwości telewizji, jak wielki posiada on handicap nawet przed radiem, które reportaż z powitania nadało dwie godziny później. Niewątpliwie to wszystko zobowiązuje. Zobowiązuje do lepszego dbania o aparat techniczny telewizji, o stan urządzeń stacyjnych, o stałe ich unowocześnianie i zwiększanie mocy nadajników.

Zobowiązuje też do śmielszej wymiany programów z zagranicą.

Kosmiczny lot Gagarina skupił cały świat w podziwie dla techniki radzieckiej i bohaterstwa człowieka, skupił też na wielkim święcie ludzkości skromnie licząc 100 milionów widzów w całej Europie w krajach o różnych systemach politycznych, siedzących przy odbiornikach telewizyjnych.

PROGRAM na najbliższe dni

20. IV. 61 — CZWARTEK
11.00 Program dla szkół. Język polski: „Przyjaźń między ludźmi" (W) dla klas V i VI
11.30 Przerwa
16.55 Program dnia (L) lok.
17.00 Program publicystyczny (L) lok. „Temat leży na ulicy"
18.00 Transmisja akademii z okazji XVI rocznicy podpisania w Moskwie Układu o Przyjaźni, Pomocy Wzajemnej i Współpracy między Rządem Polskim i Radzieckim (W)
(W przerwie transmisji około godz. 19.30 Dziennik TV (W)
20.30 „Nie tylko dla pań" magazyn (W)
21.00 Teatr Kobra: „Proszę obudzić" widowisko sensacyjne wg Henryki Morawy (W)
22.00 Ostatnie wiadomości (W)
21. IV. 61 — PIĄTEK — PROGRAM WYŁĄCZNIE LOKALNY.
18.00 Program dnia.
18.05 Filmy dla dzieci.
18.30 Program publicystyczny „Narodziny przestępczości"
18.45 Film krótkometrażowy
19.00 Wszystkie dni tygodnia
19.30 Dziennik TV
19.45 Występ zespołu żydowskiego
20.00 Film fabularny prod. pol. „Decyzja"
21.30 Koncert Muzyki Dawnej
22.00 Ostatnie wiadomości
22. IV. 61 — SOBOTA
11.00 Program dla szkół: Botanika: „Rośliny południowego słońca" dla klas V (W)
11.30 Przerwa
16.10 Sprawozdanie z międzypaństwowych zawodów pływackich Polska — Szwecja (Warszawa)
17.10 Telewizyjny Kurs Motorowy (Warszawa)
17.30 „Dzieci pana majstra" widowisko lalkowe dla dzieci (L) ogólnopolski.
18.40 „Paragraf i fajka" przed kamerą prof. dr Jerzy Sawicki (W)
19.05 Program tygodnia (W)
19.20 Program tygodnia (L) lok.
19.30 Dziennik telewizyjny (W)
20.05 Rozmowę z teatrologiem Stanisławem Dąbrowskim przeprowadzi Krystyna Nastulanka (W)
20.25 „U progu ciemności" film fab. prod. ang. od lat 18 (L) lok.
22.00 Ostatnie wiadomości (W)
22.10 „Gwiazdy i gwiazdki" program rozrywkowy (W)
23. IV. 61 — NIEDZIELA
9.30 Start do Małego Wyścigu Pokoju. Transmisja z Berlina przez Katowice (K)
10.55 Przerwa
12.30 Transmisja z wyścigu kolarskiego (W)
14.00 Przerwa
15.00 Niedzielna Biesiada (W)
16.00 „Sztuka animacji" film z serii Disneyland (W)
16.50 Polska Kronika Filmowa (Warszawa)
17.00 Teatrzyk „Violinek" (W)
17.30 Sceny dramatyczne „Beniowski" Juliusza Słowackiego (W)
18.30 „20 pytań" teleturniej (L) ogólnopol.
19.30 Dziennik telewizyjny (W)
20.15 „Droga do Yellow Sky" film fab. prod. amerykańskiej (W)
21.45 Wiadomości sportowe (W)

Niestety — idzie lato, z nim ogórki. Widoki plaży mogą się okazać ciekawsze od programu TV.

Warszawska Fabryka Telewizorów zapowiedziała, że już wkrótce wypuści na rynek partię udoskonalonych telewizorów „Wawel" z ekranem o przekątnej 21 cali. Cena nieustalona, ale ponad 12 tysięcy złotych.

Już wkrótce udoskonalone „Wawele" niestety dość drogie

TELEwizja

Jeszcze o teatrze telewizji

Przed tygodniem opierając się na materiałach ankiety „Głosu Robotniczego" z pewnym smutkiem przytaczałem dość liczne wypowiedzi określające ambitny i zróżnicowany repertuar Teatru Telewizji mianem trudnego, bądź wręcz elitarnego. Poddawałem wówczas w wątpliwość te oceny, przypominałem o licznych pozycjach popularnych i czysto rozrywkowych, a genezy narzekań szukałem gdzieś indziej, szukałem jej w zupełnym niezorientowaniu telewizyjnego odbiorcy w gatunku oferowanego mu „towaru".

Telewizja nie dba o reklamę, zadowala się krótkimi omówieniami programu i suchymi komunikatami przesyłanymi do prasy — włączając telewizor znamy tedy w najlepszym wypadku tytuł sztuki, nazwisko autora i najogólniej zaznaczony rodzaj — „komedio-farsa", „wodewil", „sztuka", etc. Idąc do teatru czy do kina bogatsi jesteśmy o przeczytaną recenzję, opinię znajomych, obejrzane fotosy, notki prasowe i temu podobne środki kształtowania opinii przyszłego odbiorcy, przy audycji telewizyjnej konfrontacja naszych ocen z ocenami krytyków czy po prostu z ocenami znajomych następuje zbyt późno, po fakcie i niczego w rezultacie nie zmienia.

Telewidz, który z jakichkolwiek przyczyn nie chwyci zamysłu autora, nie odbierze ukrytej w sztuce metafory, nie wyłowi istotnego zwrotu akcji — pozostaje zdany na własne siły i może co najwyżej wyłączyć aparat. Potem narzeka, złości się — i to jest ludzkie.

Nie wiem, czy nie idę we wnioskach za daleko, ale wydaje mi się, że można przy pomocy nieskomplikowanych zabiegów odwrócić dotychczasową praktykę.

Więc przede wszystkim reklama. Cóż stoi na przeszkodzie, aby przesyłać redakcjom obszerniejsze zapowiedzi programowe, podawać wcześniej obsadę sztuki, uzupełniając ją informacjami o rodzaju spektaklu, oceniać w jakiejś umownej skali stopień jego trudności, bliżej precyzować gatunek sztuki czy filmu, szczególnie jeżeli chodzi o filmy zakupione bezpośrednio przez telewizję i szerzej nie znane.

Byłby to zabieg niejako wstępny, trudno bowiem powiedzieć w jakim stopniu prasa mogłaby taki materiał wykorzystywać, pozostaje jednak przecież sam program telewizyjny. Oczywiście nie chodzi o systematyczne ględziarstwo, można jednak chyba przewidzieć, jaki spektakl będzie trudniejszy w odbiorze, nasunie wątpliwości. A skoro tak, to można go przygotować, można poprzedzić odpowiednikiem artykułu zamieszczanego z reguły w teatralnym programie — kilkanaście czy kilkadziesiąt zdań przystępnie wykładających sens sztuki może okazać się dla niejednego widza rzeczą nader przydatną.

Z drugiej strony można pomyśleć o jakiejś „recenzji na gorąco — znów nie jako o regule, a rodzaju ubezpieczenia. Jeden czy dwóch recenzentów w dyskusji z reżyserem sztuki, dyskusji piętnastominutowej nadanej bezpośrednio po spektaklu mogłoby, jak sądzę, zaproponować widzowi jakiś system ocen, wypunktować cenniejsze elementy widowiska, niekiedy narzucić własną ocenę.

Podobnie w wypadku niektórych filmów, niektórych koncertów rozrywkowych i tak dalej i tak dalej — chodziłoby tu już nie tylko o wyjaśnianie takich czy innych spraw, a o generalną polemikę ze złymi gustami estetycznymi, którym — nie okłamujmy się — widz w znacznej masie nadal hołduje.

Oczywiście sprawa nie jest prosta, łatwo o przesadę i natręctwo, ale rzecz wydaje się być warta grzechu. Na pewno.

J. PANASEWICZ

3 WYWIADY NA JEDEN TEMAT

O swoich, bardzo rzadkich zawodach powiedzieli nam:

P. PROF. MICHALSKI — ANTROPOLOG Z KATEDRY ANTROPOLOGII UŁ.

— Bardzo trudno będzie to omówić w kilku zdaniach ale spróbuję. Głównym zadaniem antropologa jest przedstawienie strony somatycznej człowieka. Tak jak psycholog bada psychikę człowieka, socjolog zajmuje się nim jako jednostka społeczną, tak naszym zadaniem jest badanie człowieka jako organizmu biologicznego.

W MUZEUM ARCHEOLOGII I ETNOGRAFII — Przedmiotem badania etnografów jest kultura ludu, tradycyjna i współczesna. Podstawą tej nauki są badania terenowe polegające na gromadzeniu informacji od mieszkańców wsi, osad i miasteczek a odnoszące się do: narzędzi pracy, techniki, budownictwa, stroju, wierzeń i obrzędów oraz sztuki a także życia społecznego. Materiały terenowe uzupełniane są archiwaliami i literaturą.

P. MARIA KELLER — TEORETYK FILMU — Zawód nasz polega na omawianiu i zajmowaniu się sprawami na których nikt dokładnie się nie zna. To otwiera przed teoretykami filmu nieograniczone możliwości. W pracy opieramy się na literaturze obcej (co wymaga minimalnej chociaż znajomości języków obcych i posiadania kilku słowników) oraz na bliżej nie znanych dziełach filmowych. W ten sposób gwarantujemy sobie ekskluzywność wykładanej przez nas wiedzy (sic!).

Rozmawiał **ŁUW**

informacje i zaczepki

W odpowiedzi na drukowany w „Odgłosach" reportaż o Krośniewicach nadszedł do naszej redakcji list napisany z pogwałceniem zasad składni i interpunkcji, z błędami ortograficznymi na dodatek; autorką listu jest „kierowniczka miejscowej biblioteki. ■ W związku z nadchodzącą wiosną informujemy zakochane pary, że nie bawem stanie w łódzkich parkach około 5 tys. ławek. ■ Fontannę wysokości 10 metrów oświetloną kolorowymi reflektorami pragną wybudować przed dworcem Kaliskim aktywiści Towarzystwa Przyjaciół Łodzi. ■ Na blisko 800 nauczycieli powiatu łowickiego z Biblioteki Pedagogicznej Powiatowego Domu Kultury Nauczyciela korzysta zaledwie... 50 osób. ■ Oryginalną i ciekawą wystawę zorganizowało ostatnio Centralne Biuro Wystaw Artystycznych — eksponowano bowiem w Salonie Wystawowym przy ul. Piotrkowskiej 102 prace 3 najstarszych malarzy łódzkiego środowiska. ■ Po raz trzeci na łódzkich scenach ujrzeliśmy „Krakowiaków i Górali" tym razem w reżyserii Feliksa Żukowskiego. ■ W Osiedlu im. Władysława Bytomskiej otwarto wreszcie księgarnię, w której mieszkańcy osiedla zaopatrzyć się mogą nie tylko w ostatnie nowości książkowe lecz także w płyty i reprodukcje malarstwa. ■ Łódzka Spółdzielnia „Turysta" wpadła na świetny pomysł — organizuje mianowicie dla łodzian wycieczki autokarem po mniej znanych rejonach miasta. ■ 30 osób z Łodzi stanie do wojewódzkich eliminacji VIII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego. ■ W „Przekroju" czytamy, że włoska i szwajcarska policja jeździ na koniach zakupionych w Państwowej Stadninie w Walewicach, pow. łowicki. ■ Na konkurs plastyków-amatorów organizowany corocznie w naszym mieście wpływają już pierwsze prace — zainteresowanym radzimy się śpieszyć, bowiem termin upływa z dniem 20 kwietnia.

WIL

Ryszard Doroba

F-R-A-S-Z-K-A

czy się komuś podoba, czy się nie podoba frasze dzisiejszej drukuje Giełżot lub Doroba

ZMARTWIENIE KOCIAKA

Z tym największy jest ambaras,
że nie można z dwoma na raz.

BA gatelki

Najpierw jest ciemność. Później różowawe światło. Z niego wyłaniają się masywne kraty. Za kratami obłoczki. Kratki pękają. Ukazuje się biało-czerwona flaga. Później nad nią — czerwona. Czerwona zmienia się ni mniej ni więcej, w komin fabryczny. Co to jest? — pytasz Czytelniku. Cierpliwości, bo oto znowu ciemność, a potem: „serdecznie witamy w kinie Polonia". I tak właśnie kilka razy dziennie szarzy ludzie mogą

a) poznać w kolosalnym skrócie historię Polski od roku 1939 do dnia dzisiejszego,

b) zostać uświadomionym, dlaczego to kino tak właśnie się nazywa.

Niektórzy z nich zaś nie mogą się domyśleć

a) dlaczego flaga zamienia się w komin,

b) dlaczego dobry pomysł zepsuto szmirowatym wykonaniem.

Apetyt wzrasta w miarę jedzenia. To bardzo przyjemnie, że nas witają, ale my już chcemy, aby nas witano ładnie. Ten miły „europejski" zwyczaj witania „w naszym kinie" wywołuje zawsze szmer aprobaty — reakcja ta jest pewnego rodzaju symptomem.

Europeizujemy się. To znaczy oddalamy od czasów, kiedy grzeczne kulturalne zachowanie było świadectwem drobnomieszczańskiej edukacji. To znaczy, że podobają nam się takt, grzeczna forma, że zwracamy uwagę na tak zwany dobry ton.

Ekspedientka za ladą uśmiecha się do klienta.

Szatniarz w restauracji czy kawiarni mówi: „Do widzenia państwu"

Ulicą idzie grupka młodzieńców wcale nie należących do tzw. wyższych sfer towarzyskich i naradza się głośno jakie kwiaty kupić na imieniny znajomej.

Czytelnicy otrzymują od bibliotek życzenia noworoczne. Jedną z najbardziej poczytnych rubryk „Przekroju" jest „demokratyczny savoir vivre".

To wszystko fakty bardzo radosne. Ale...

Niech jak najmniej będzie „wszystkiego co się szczęściem zwie" i flag zamieniających się w fabryczne kominy. I w tym wypadku również musimy się chronić przed szmirą, przed którą ostrzega mimo wszystko bardzo pokrzepiony

M.A.W.

ZAGADKA TYGODNIA

Dziś zagadka matematyczna. Gwoli ścisłości musimy zaznaczyć, że nasze zagadki to nie zwykłe i zazwyczaj nudne zadania matematyczne. Czasem będzie to żart matematyczny, czasem inna ciekawostka ze świata cyfr, nigdy zaś suche i absolutnie serio zadanie. A więc posłuchajcie:

1) Jaka liczba podzielona przez 1/5 tej samej liczby daje w rezultacie równe 5?
2) Oto liczby od 1 do 9 dające w sumie 45:
   1 + 2 + 3 + 4 + 5 + 6 + + 7 + 8 + 9 = 45
   Zadanie Czytelników będzie nieskomplikowane. Otóż trzeba zastąpić jeden znak dodawania (+) znakiem mnożenia (x) oraz użyć w odpowiednim miejscu nawiasów tak aby suma powyższych liczb wyniosła 100.

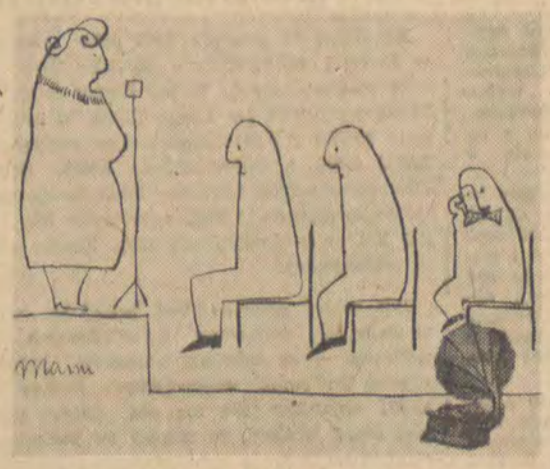

Rys. M. Mann

Redaguje Zespół ◇ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ◇ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 214 79 ◇ Warunki prenumer.: miesięcznie zł 1.—, kwartalnie zł 12.— ◇ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ◇ Prenumerata przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Zwirki 17 ◇ Zam. 1147 IV. L-4

Najostrzejsze ołówki świata

POU-ZET

W swoim czasie przedstawialiśmy na tym miejscu francuskiego karykaturzystę Jean-Jacques Sempe, wpisującego zabawne przygody swoich bohaterów w rozległe tło architektury, parków, ulic wielkomiejskich etc. Podobne są — na pierwszy rzut oka — żarty innego humorysty francuskiego, młodszego znacznie Gastona Pouzeta. Decyduje o tym podobieństwie przede wszystkim duży format rysunków, lecz w grunie rzeczy obaj humoryści reprezentują zupełnie inny typ komizmu.

U Sempe'a — dowcipną sytuację stwarzało właśnie tło, szczegółowo rozrysowany drugi plan — który w różny sposób określał losy bohaterów. Pouzet inaczej — tu śmieszność rodzi się z poczynań ludzkich, z ludzkiej naiwności, głupoty, nadmiernej pewności siebie. Stąd też Pouzet wnikliwiej indywidualizuje swe postacie, lubi pokazać różne postawy psychiczne.

Pewne przegadanie tych żartów chyba nas jednak nie razi, nowoczesny rysunek humorystyczny cechuje nadmierna już lakoniczność. W tej powszechnej tendencji rozbudowana anegdota Pouzeta wydaje się być zjawiskiem świeżym i oryginalnym.

Pouzet jest rysownikiem mało znanym w Polsce, miał bardzo niewiele przedruków. Zresztą i we Francji publikuje swe dowcipy rzadko, należy do humorystów którzy się bardzo cenią — i nie wypuszczają w świat słabszych konceptów...

(JERT)

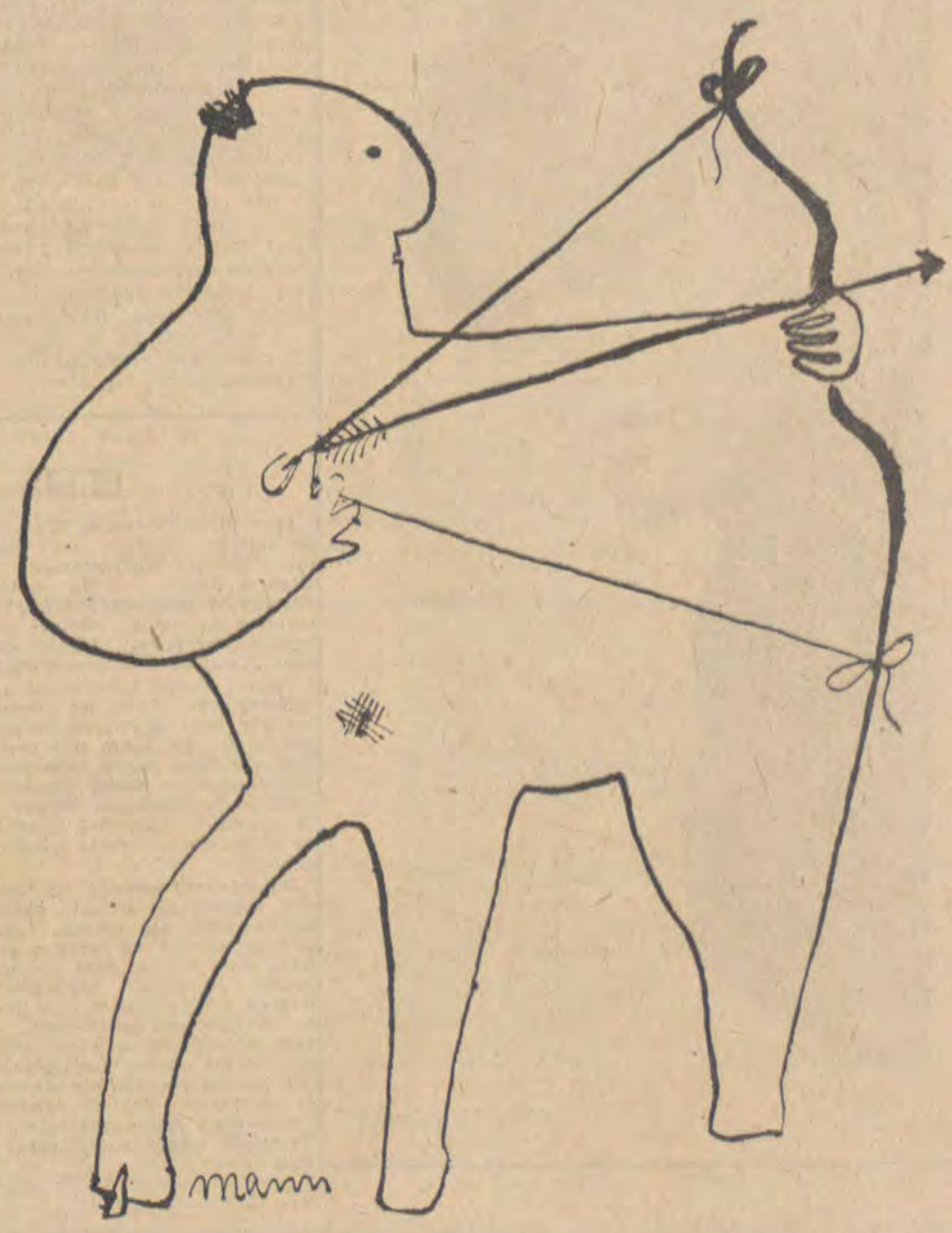

ODGŁOSY tygodnia

ALL RIGHTS RESERVED
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
COPYRIGHT BY ODGŁOSY

Tajne opinie

Nauczycielka Jadwiga D. zgłosiła się do przychodni „D" przy ul. Limanowskiego 166 z prośbą o skierowanie lekarza do jej półtorarocznego dziecka. Rejestratorka odmówiła przyjęcia zgłoszenia, gdyż nauczycielka w związku z zamianą mieszkania, nie zdążyła jeszcze dokonać wpisu nowego adresu do książeczki ubezpieczalnianej. A chociaż istnieje zarządzenie, że nie wolno odmawiać udzielenia jednorazowej pomocy lekarskiej w tego rodzaju przypadkach — rejestratorka była nieubłagana.

Nie pomogły łzy i prośby matki, że dziecko chore na biegunkę, z godziny na godzinę słabnie, a pozostawione bez pomocy lekarskiej, może umrzeć.

Doszło do wymiany słów. Wtedy „zdenerwowana" rejestratorka na karcie chorobowej dziecka (przeznaczonej wyłącznie do zapisków lekarza) dokonała adnotacji: „matka dziecka jest histeryczką".

Nie trudno się domyśleć, że celem tego było nastawienie personelu lekarskiego „na przyszłość" w stosunku do nauczycielki.

Ciekawe — ile takich tajnych opinii, sporządzonych przez rejestratorki, widnieje w kartach chorobowych w ośrodkach zdrowia.

WYPISY Z PROTOKOŁÓW

Oto niektóre wyjątki z protokołów spotkań przedwyborczych z kandydatami na posłów do Sejmu PRL oraz na radnych do terenowych rad narodowych:

I

Załatwienie prostej formalności rejestracji motocykla trwa dziś nieraz jeszcze trzy dni. Ta „sprawność" poniektórych urzędników Wydziału Komunikacji Prezydium RN m. Łodzi przy rejestracji „dwóch kółek" powoduje, że często jeszcze wydział ten nazywa się potocznie „Wydziałem kołowatym".

(z zebrania przedwyborczego z mieszkańcami Widzewa)

II

W naszych blokach na Kozinach przez całą zimę nie działało centralne ogrzewanie. Specjalna komisja orzekła, że jest ono wadliwie zbudowane i nie nadaje się do użytku. Lokatorzy jednak miesiąc w miesiąc otrzymywali nakazy płatnicze za korzystanie z c. o. wraz z pouczeniem, że w... razie nie uregulowania należności, zostanie ona wyegzekwowana w trybie administracyjnym".

(z protokółu spotkania kandydatów na posłów i radnych z mieszkańcami dzielnic Polesie i Bałuty)

III

Zasypywani jesteśmy coraz większą ilością sprawozdań, statystyk, statystyczek, pytań i okólników. Wszędzie żąda się pisemnej odpowiedzi. A wśród tych wszystkich okólników jest również okólnik nakazujący... oszczędność papieru".

(z wypowiedzi dyrektorki Technikum Galanteryjnego na zebraniu przedwyborczym pracowników oświaty)

IV

W wielu mieszkaniach w osiedlu spółdzielczym przy ulicy Władysława Bytomskiej w Łodzi parkiet został ułożony tak przemyślnie, że dziś dzieci używają klepek zamiast klocków.... Dzieciom ponoć ta zabawa bardzo się podoba, rodzicom znacznie mniej(!)".

(z protokółu przedwyborczego spotkania kandydatów na posłów i radnych z załogą ZPB im. Harnama).

PIĘKNE DZIEWCZĘTA NA ŁAMY „ODGŁOSÓW"

Foto: M. Adamek

Miernik popularności

O tym, że Polacy to poważny i rozsądny naród przekonaliśmy się podczas wyborów. Ale przy okazji tej dowiedzieliśmy się, że Polacy to także „dowcipny" naród. Otóż jak się okazuje co czwarty „pacjent" izby Wytrzeźwień przed wyborami podawał się za kandydata na radnego. Ciekawe, ilu obecnie po wyborach będzie się podawało za radnych.

„CASUS BIUROCRATIS"

Obywatel Stanisław Orłowski — pracownik ZPB im. Szymona Harnama — wstąpił do Spółdzielni Mieszkaniowej „Staromiejska". Gdy wreszcie otrzymał zawiadomienie o przydzieleniu mu lokalu spółdzielczego, postanowił — jako lojalny obywatel — zdać swoje dotychczas zajmowane mieszkanie władzom kwaterunkowym.

Aby formalności stało się zadość — musiał w tym celu napisać podanie z prośbą o „łaskawe przyjęcie opuszczonego mieszkania" przez Wydział Kwaterunkowy Prez. DRN Łódź-Śródmieście oraz uiścić „wymaganą przepisami urzędowymi" opłatę skarbową.

Ale na tym nie koniec. Ponieważ długo nikt nie kwapił się z załatwieniem tego podania, nasz lojalny obywatel musiał jeszcze osobiście siedmiokrotnie interweniować w wyżej wymienionym wydziale kwaterunkowym, by wreszcie łaskawie zgodzono się tam na przyjęcie zwalnianego przez „upartego" lokatora mieszkania (!)

I pomyśleć, że są jeszcze tacy ludzie, którzy dziwią się, iż podania o przydział mieszkań leżą nieraz miesiącami nie rozpatrzone...

LIST CZYTELNIKÓW

DROGA REDAKCJO „O. T."!

Ekskluzywne Biuro Podróży „Orbis" proponuje w tym roku wycieczki do Chin, Korei, Francji oraz nad Morze Czarne i Śródziemne. Cena wycieczki do Chin Północnych i Południowych wynosi 14.500 zł, zaś do Chin i Korei 15.400 zł, do Francji 10.085 zł, natomiast podróż morska statkiem MS „Dzierżyński" wokół Morza Czarnego i Śródziemnego kl. I wynosi 17.430 zł, klasą II 15.275 zł, a klasą III 13.650 zł. Dane te zaczerpnęliśmy z cennika wywieszonego w witrynie „Orbisu".

Panowie, rozumiemy doskonale, że znajdą się tacy, którzy skwapliwie skorzystają z cennej inicjatywy tej instytucji. Ale pytamy się dlaczego wystawiają na widok publiczny swój drogi cennik i naigrywają się tym samym z nas, szarych ludzi pracy. Pytamy, czyżby „Orbis" był w zmowie z lekarzami chorób sercowych?

CHORZY CZYTELNICY

Odpowiedź redakcji

Sprawdziliśmy, i owszem, zgadza się: największą grupę turystów korzystających z usług „Orbisu" stanowią lekarze praktykujący prywatnie. Nie są to jednak jak przypuszczają nasi Czytelnicy, lekarze kardiolodzy, ale ginekolodzy.

Łącząc serdeczne pozdrowienia, życzymy Wam przyjemnego wypoczynku w Złotych Piaskach.

Redakcja „O. T.".

Koniec ery komisów?

Z wiadomości, które otrzymaliśmy od ludzi dobrze poinformowanych w planach i zamierzeniach Przedsiębiorstwa Sprzedaży Okazyjnej „Bazary i Komisy" w Łodzi wynika, że zanosi się na likwidację szeregu placówek zajmujących się sprzedażą komisową artykułów przysyłanych w paczkach zza granicy. Rozpatruje się projekt likwidacji takich placówek, jak sklep mieszczący się przy ul. Andrzeja Struga, Obrońców Stalingradu oraz przy ul. Głównej. Jedną z placówek już zlikwidowano, a mianowicie sklep znajdujący się przy ul. Narutowicza. Powod tej akcji? Stosunkowo słabe obroty, brak nabywców w tych sklepach oraz nikły napływ artykułów pochodzenia zagranicznego.

Czyżby nasze sweterki z „Olimpii" wygrały batalię z zagranicznymi ciuchami i era komisów miała się już ku końcowi?

PIĘKNE DZIEWCZĘTA NA ŁAMY „ODGŁOSÓW".

Foto: M. Adamek

PLECY

Przy ul. Mickiewicza 7, czyli w samym pępku miasta, znajdują się garaże użytkowane przez Zakłady Energetyczne Okręgu Centralnego w Łodzi. Na obiekt ten, wybudowany w latach międzywojennych z przeznaczeniem na stację obsługi samochodów, z utęsknieniem patrzą ludzie troszczący się o stan i rozwój naszej motoryzacji.

Tu nie chodzi bynajmniej o eksponowaną lokalizację. Tu chodzi po prostu o to, że obiekt ten nie jest racjonalnie wykorzystany. 10 stanowisk w tym jedno wyłożone kafelkami i nadające się do mycia samochodów, którego nie uświadczysz w żadnej państwowej stacji obsługi służy tylko do wygodnego garażowania 10 pojazdów własności szczebla centralnego, a po niekosztownej zgoła adaptacji mogłoby służyć...

Właśnie. Od szeregu lat toczą się boje o to, aby wspomniany obiekt objęła we władanie łódzka TOS, nie mogąca sprostać zadaniom powiększającym się wraz z przyrostem inwentarza motorowego. TOS nie ma zamiaru bezlitośnie „wygryźć" Zakładów Energetycznych Okręgu Centralnego i daje im zastępcze garaże. O celowości przekazania obiektu w ręce TOS przekonane są władze miejskie, które wydały w tej mierze pozytywną decyzję. Jak dotąd jest to decyzja nie do wykonania. Wygląda na to, że Zakłady Energetyczne Okręgu Centralnego mając garaże w Łodzi mają równocześnie swoje energetyczne plecy poza Łodzią.

INWENTARZ MOTOROWY

Na dzień 31 grudnia 1960 roku zanotowano w Łodzi i województwie łódzkim 73.253 pojazdów mechanicznych. W tej liczbie znajduje się 54.425 motocykli (w Łodzi 13.754, w województwie 40.671) i 8.403 samochodów osobowych (w Łodzi 5.040, i województwie 3.368). Samochodów ciężarowych mieliśmy 9.488 (w Łodzi 5.664, w województwie 3.824), autobusów 591 (w Łodzi 294, w województwie 297). Resztę stanowiły motorowery.

Jak widać miasto Łódź przoduje wyraźnie w zakresie pojazdów dwuśladowych, województwo — w zakresie pojazdów jednośladowych. To samo województwo liczące ogółem 40.671 pojazdów nie ma ani jednej państwowej stacji obsługi, to znaczy że posiadacz motocykla w Praszce lub Głuszynie pragnąc dokonać przeglądu technicznego swego warczącego rumaka może to uczynić tylko w Łodzi. No dobrze, ale jak ów rumak mu się znarowi i do Łodzi nie zechce dojechać, to co? To wówczas mu zostaje pójście do kowala. Ładnie będzie wyglądał nasz majątek motorowy, pozostając w rękach kowali. Ale ostatecznie nie kowal jest winien i nie jego trzeba wieszać.